


Anna Zofia Malinowska



**Meloman – opowieść  
o psim sercu**

**przygody kundelka**

*Anna Zofia Malinowska*

***Meloman – opowieść  
o psim sercu***

przygody kundelka

Ridero

2025

© Anna Zofia Malinowska, 2025

ISBN 978-83-8414-644-6

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

# *Spis treści*

Rozdział 1 .....	6
Rozdział 2 .....	26
Rozdział 3 .....	35
Rozdział 4 .....	48
Rozdział 5 .....	58
Rozdział 6 .....	77
Epilog .....	85



Książkę te dedykuję moim kochanym czytelnikom  
i wszystkim psom na świecie

# Rozdział 1

Jestem psem miejskim, ale nie zawsze tak było. Urodziłem się bowiem na wsi i pierwsze miesiące życia spędziłem właśnie tam. Może to i dobrze, że wspomnienia zacierają się z biegiem czasu w mojej głowie, bo życie z pełnym ich balastem byłoby nie do zniesienia.

Nie, nie łudzę się, że moja historia jest wyjątkowa... Wiem niestety, że jest tylko jedną z wielu podobnych opowieści. Opowieści o stworzeniach, którym nie dane było urodzić się w dobrym miejscu oraz dorosnąć z pełnymi brzuchami i w ciepłe, nawet o takich, którym w ogóle nie dane było dorosnąć, a często też poznać, czym jest życie. A także historii o istotach, które poznały to życie od najgorszej strony.

Czy winię was, ludzi za swój los? Nie, jestem psem, nie winię nikogo, chociaż zapewne łatwiej by mi się żyło, gdybym to potrafił. To wy sami w swoich sercach, jeśli je macie, musicie rozliczyć się z tym, coście nam uczynili. I nie generalizuję, daleki jestem od tego. Znam ludzi, którzy mają serca we właściwym miejscu, a w nich mnóstwo miejsca dla innych stworzeń.

Moja opowieść jest dla wszystkich, tych posiadających sumienie i tych, którym natura go poskąpiła. Dla tych, którzy pochylają się nad skrzywdzonymi istotami i nie potrafią przejść obojętnie obok cierpiącego zwierzaka, ale także dla tych, którzy tego nie czynią. Może moje słowa przeczyta ktoś zły i coś się w nim zmieni dzięki nim na lepsze? Nie śmieście się, my psy jesteśmy naiwne i wierzymy, że każdy może stać się dobrym, jeśli tego pragnie.

To nasz sposób na przetrwanie.

Pierwsze co pamiętam to zapach mojej matki – dla mnie najpiękniejszy na świecie. Pachniała mlekiem, wiatrem, miłością i bezpieczeństwem. Wspominam dotyk jej ciepłego języka na mojej skórze, tchnienie jej gorącego oddechu, kiedy sprawdzała, czy z nami wszystko w porządku, obwąchując nasze kluskowate ciała. I pamiętam moje siostry i braci, którzy, podobnie jak ja, pchali się do pełnych pokarmu sutków, popiskiwali i sikali pod siebie. Wtedy wszystko było takie proste, trzeba było tylko dużo jeść i spać możliwie najbliżej rodzeństwa, najlepiej w środku, żeby nie zmarznąć. A potem otworzyłem oczy...

Mój dom był mroczny i ciasny, lecz był to jedyny dom, jaki znałem. Daleko, jak mi się wtedy wydawało, dostrzegalem światło, stamtąd także dobiegały obce zapachy, których trochę się bałem, lecz które zarazem kusiły i przyzywały. Nasza matka jednak zabraniała nam zbliżać się do tej jasności i zapachów, które chcieliśmy poznać, odpychała nas i czasem szczypała boleśnie tego, który był zbyt ciekawski, by jej posłuchać. W końcu jednak musiała nam pozwolić poznać świat, który na nas czekał. Dorastaliśmy, potrzebowaliśmy ruchu i powietrza, zabaw i radości nie mniej, niż jedzenia.

Nie spodziewałem się, że to, co leżało poza naszym domem było takie ogromne i takie jasne! Wyszedłem za moimi braćmi i stanąłem osłupiały, mrużąc oczy w promieniach słońca, niezdolny do ruchu, sparaliżowany strachem i zachwytem. Świat był piękny, piękniejszy niż sądziłem, pachniał tęsknotą za czymś, czego nie znałem i przyzywał mnie z całej mocy, obiecując cudowności, których nie potrafiłem pojąć. Bałem się tego świata, a zarazem chciałem poznać cały, powąchać każdy jego zakamarek i pobiec przed siebie na krótkich, miękkich łapkach.

Matka nie zezwoliła nam jednak odejść zbyt daleko, pilnowała nas, leżąc z czujnie uniesioną piękną głową i nastawionymi uszami, z których jedno było wystrzępione i krzywe. My, nieświadomi i beztroscy, przewracaliśmy się w miękkiej trawie, toczyliśmy bójkę między sobą, a kiedy zgłodnieliśmy, bieглиśmy do naszej rodzicielki, do jej pełnych mleka piersi i miękkiego pyska.

Rosłem, byłem coraz silniejszy i odważniejszy. Nasze wyprawy stawały się nieco dłuższe, przemierzaliśmy okolice naszego domu z uporem, nawet wówczas, gdy nasza matka biegła gdzieś daleko, by przynieść czasem coś, co mogliśmy zjeść. Niekiedy nasze jedzenie było świeże i żywe, najczęściej jednak takie nie było, lecz zawsze byliśmy wdzięczni, że je dostajemy. Wtedy już poznaliśmy, co to głód i baliśmy się go, szarpał nasze brzuchy boleśnie i sprawiał, że płakaliśmy, ale co najgorsze, przez nasz głód płakała także matka, jej łzy zaś bolały nas najbardziej.

Któregoś wieczoru matka nie wróciła, nie było jej także rano, chociaż wołaliśmy ją z całych sił. Pojawiła się dopiero nad ranem, nie przynosząc nic, czym moglibyśmy się posilić. Wpełzła do naszej jamy i legła na brzuchu, kładąc głowę na ziemi. Pachniała krwią i cierpieniem. Potem zaczęła pachnieć także chorobą i śmiercią. W końcu pozostał tylko zapach śmierci. Zrozumieliśmy, że nie mamy już mamy, zostaliśmy sami.

Wiedzieliśmy, że musimy opuścić nasz dom i iść poszukać czegoś do jedzenia i chociaż baliśmy się bardzo, nie mieliśmy innego wyjścia. Nie byłem odważny, ani najsilniejszy, nie spieszyłem się więc, ale w końcu i ja musiałem znaleźć w sobie dość odwagi, aby opuścić miejsce, które do tej pory było moim domem, pozostawiając w nim ciało tej, która mnie urodziła.

Ruszyłem przed siebie, podążając po tropach moich odważniejszych braci i sióstr, przemierzałem leśne ścieżki i przedzierałem się przez krzaki. W końcu dotarłem w po-

bluże wartkiego strumyka, którego wody skrzyły się w słońcu, a zapach obiecywał ugaszenie pragnienia. Chciałem napić się chłodnej wody, jednak ponieważ moje łapki były jeszcze niezbyt sprawne, a krępe ciało nie potrafiło zachować równowagi, wpadłem do rzeczki. Prąd porwał mnie i poniosł, rzucając mną jak korkiem. Woda zalewała mi głowę, sprawiała, że nie mogłem oddychać, szybko opadłem z sił. Nagle poczułem, że coś chwytą mnie za skórę na grzbiecie i wyciąga z wody. Bardzo się bałem, nie miałem jednak sił, by bronić się albo uciekać, czy chociażby płakać ze strachu.

Istota, która mnie złapała była najdziwniejszym stworzeniem jakie dotychczas widziałem. I największym. Miała dziwną, płaską twarz bez futerka, którą zbliżyła do mnie, ale w jej oczach nie dostrzegłem groźby, tylko troskę. I była ciepła, trzymała mnie mocno, lecz delikatnie, sprawiając, iż powolutku mój strach mijał. Nie pachniała mlekiem, ale jej zapach też całkiem mi się podobał. Polizałem ją, a ona wydała taki dziwny dźwięk, którego również nigdy wcześniej nie słyszałem, jednak skądś wiedziałem, że był to śmiech.

— Skądś się tu wziął, co? — zapytała. — Biedaku, niewiele brakowało, a utonąłbyś w tej naszej rzeczce. Gdzie twój domek?

Nic nie rozumiałem, ale na wszelki wypadek znowu polizałem tę dziwną istotę, która mówiła do mnie łagodnym głosem i sprawiała, że było mi ciepło. Zastanawiałem się, czy może ona dać mi także napić się ciepłego mleczka, chociaż nic nie wskazywało na to, żeby je miała.

I tak trafiłem do domu Babci Jasi. W tym domu, poza Babcią i mną mieszkaly także inne zwierzaki i nie wszystkie lubiłem. Babcia Jasia opiekowała się dwoma psami i dwoma kotami, miała pod opieką także kury, kaczki i jedną gęś. Ja stałem się najmłodszym członkiem jej dużej rodziny.

Dom, w którym mieszkała w niczym nie był podobny do naszej jamy w lesie, znacznie większy, wydawał mi się wtedy prawdziwym pałacem. W środku pachniało jedzeniem, dymem i kwiatami, było tam ciepło i sucho — od razu mi się spodobało. Babcia wniosła mnie na rękach do wewnątrz i posadziła na takim miękkim i wysokim, co, jak się potem dowiedziałem, nazywało się łóżkiem. Została mi samego i chociaż chciałem pobiec za nią, lecz do ziemi było bardzo daleko, bałem się z zeskoczyć, więc tylko narobiłem wrzasku. Babcia wróciła z kolejnym miękkim czymś, w co mnie owinęła i od razu zrobiło mi się ciepło i przyjemnie. Byłem okropnie głodny, lecz zmęczenie wzięło górę, zasnąłem zawinięty w miękki kocyk na ogromnym łóżku mojej wybawicielki. Gdy się zbudziłem i otworzyłem oczy, ujrzałem koło siebie bardzo dziwnego psa — miał stojące, niewielkie uszy i długie wąsy, przyglądał mi się dużymi zielonymi oczami. Wygramoliłem się z kocyka i podszedłem do niego, żeby sprawdzić, czy czasem nie był mamą i nie miał dla mnie mleczka. Niestety, szybko przekonałem się, że to nie była żadna mama ani nawet pies. Stworzenie prychnęło, zasyczało i zdzieliło mnie łapą po głowie. Oczywiście zacząłem krzyczeć i płakać, chociaż tak naprawdę nic mi się nie stało, przestraszyłem się tylko. Stworzenie odsunęło się trochę i znowu przyjrzało mi się z uwagą.

— Czego tak się drzesz, mały? — zapytało. — Kota nie widziałeś?

— Nie. W ogóle niewiele widziałem — odpowiedziałem, zgodnie z prawdą — Ty jesteś kot? Co to kot? Taki pies, tylko inny?

— Nie głupolu, kot to kot, najlepsze zwierzę na świecie! — odparł kot z dumą. — Koty są szybkie, zwinne, mądre i przebiegłe. Umieją polować na myszy i ptaki, a także mruzczeć i łaścić się. Za to ludzie je kochają i dają im dużo dobrego jedzenia. Koty są lepsze niż psy, które nic

nie umieją, tylko szczełają bez przerwy i sikają na drzewa. Ja nazywam się Mrusia i mieszkam z Babcią Jasią od zawsze. Czyli bardzo długo. Jeśli chcesz tu zostać, nie wolno ci do mnie podchodzić bez pytania, ruszać moich miseczek i spać na poduszce Babci, bo to moje miejsce. Zrozumiano?

Niewiele z tego zrozumiałem, ale bałem się pytać dalej, żeby kot-Mrusia znowu mnie nie uderzył, albo nie zrobił mi czegoś jeszcze gorszego. Nie wiedziałem, co to te ptaki i myszy, a także polowanie i mruczenie. Postanowiłem jednak wszystkiego się nauczyć, zwłaszcza mruczenia, bo byłem bardzo głodny, a za mruczenie, jak mówił kot, dostawało się dużo dobrego jedzenia. Tymczasem do domu weszła Babcia Jasia i zbliżyła się do nas. Pogłaskała Mrusię, która wydała taki niski dźwięk, i otarła się głową o jej rękę, po czym pochyliła się nade mną.

— Wypałeś się, maluszkę? — zapytała Babcia. — Na pewno jesteś głodny, chudzineczko. Chodź, babcia zanieś cię na obiad.

Zastanawiałem się, co to ten obiad i czy to dobre, a Babcia wzięła mnie na ręce i poszła ze mną do innego pomieszczenia, gdzie bardzo smakowicie pachniało, czułem woń mleka i inne smakowite zapachy. Byłem taki głodny, że znowu zacząłem płakać i wrywać się, chciałem jak najszybciej znaleźć coś, co mógłbym zjeść. Babcia posadziła mnie na ziemi, po czym obok mnie postawiła okrągły przedmiot pełen ciepłego mleka i jeszcze czegoś, co w nim pływało i też było pyszne. Jadłem i jadłem, i miałem wrażenie, że nigdy się nie najem, ale w końcu byłem już tak pełen, że nóżki nie chciały mnie utrzymać. Usiadłem przy okrągłym, teraz prawie pustym przedmiocie i donośnie beknąłem. Babcia zaśmiała się, a ja pomyślałem, że ten śmiech to najpiękniejszy dźwięk na świecie.

— I co ja mam z tobą zrobić, piesku? — zapytała Babcia, spoglądając na mnie z troską. — Jesteś niczyj, prawda?

Oczywiście, że niczyj, taki marniutki, taki biedny... Na razie zostaniesz u mnie, a potem się zobaczy. Wystarczy mi jedzenia i dla ciebie. Trzeba ci tylko nadać imię, bo pies bez imienia to pies bez domu. A ty już nie jesteś bezdomny, małym topielcu. Będziesz się nazywał Topik.

Od tej chwili miałem już imię i własną miseczkę, chociaż najbardziej smakowało mi jedzenie z cudzych misek, zwłaszcza z miski Mrusi. Poznałem też inne psy — wielkiego, puchatego Groszka i smukłą Kurzawę, które całymi dniami biegały po podwórzu i towarzyszyły Babci Jasi, a wieczorem wracały do domu, by kłaść się u jej stóp. Kurzawę pokochałem od razu, przypominała mi trochę moją mamę, też była nieduża i miała miękkie, ciepłe pyszczek, niestety, choć szukałem parę razy, nie znalazłem u niej nawet kropli mleka. Kurzawa śmiała się ze mnie, trącała mnie łapą, aż się przewracałem i mówiła, że jestem głupki i smarkacz. Groszka na początku bardzo się bałem, był taki duży i kosmaty, nie widziałem jego oczu ani nosa, tylko szarą, długą sierść i wielki, różowy jęzor, którym usiłował mnie polizać. Jak się jednak szybko okazało, Groszek był uosobieniem łagodności, a spanie przy jego boku przypominało sen obok puchatej, ciepłej chmury. A jeszcze później dowiedziałem się, że życie w domu Babci Jasi ma też swoje ciemne strony — poznałem bowiem Króla.

Król był drugim kotem, który pomieszkiwał z Babcią. Najczęściej włóczył się po okolicy, siejąc postrach wśród innych kotów, a także psów i ptaków. Był znacznie większy od Mrusi, prawie taki duży jak Kurzawa, jego pręgowane futro było gęste i długie, miał ostre też pazury, których chętnie używał oraz wyjątkowo podły charakter. Nawet Groszek omijał go szerokim łukiem, gdyż Król nie patyczkował się z nikim, od razu syczał i tłukł wszystkich, którzy stanęli mu na drodze, a także tych, którzy po prostu nie przypadli mu do gustu, jak ja.

Gdy Król zjawił się w domu pewnego wieczoru od razu mnie dostrzegł, najeżył się, wygiął ciało w łuk i ruszył w moją stronę. Nie wiedziałem wówczas, że w takiej sytuacji najlepiej jest uciekać tak szybko, jak się tylko potrafi. Chciałem przywitać się z nowym kolegą, odważnie więc podszedłem w jego stronę, merdając krótkim ogonkiem. Król wrzasnął na mnie i uderzył mnie tak mocno, że z nosa pociekła mi krew.

— Wynocha z mojego domu! — krzyknął. — Nie mieszkaś tu! Won!

Nic z tego nie rozumiałem, Babcia wszak często powtarzała mi, że tu jest mój domek, nie zamierzałem zatem nigdzie się wynosić. Ale nie miałem także ochoty pozwalać jakiemuś kotu, który pojawił się nie wiadomo skąd, żeby na mnie wrzeszczał i kaleczył mój nos! Wyszczrzyłem na niego wszystkie zęby i zawarczałem, jak mi się wydawało, bardzo groźnie. Byłem pewien, że kot będzie się mnie bał. Niestety, tak się nie stało, kocisko znowu mnie zaatakowało, a ja nie potrafiłem się obronić. Krzyczałem bardzo głośno, tak głośno, że Babcia, która wracała właśnie ze sklepu w towarzystwie Groszka i Kurzawy już z ulicy usłyszała mój lament. I dobrze, że była blisko, bo pewnie Król zrobiłby mi poważną krzywdę, gdyby nie ona i kapeć, którym odpędziła kocura ode mnie.

— Biedny Topiku — mówiła, obmywając mi poraniony nosk ciepłą wodę i głaszcząc mnie tymi kochanymi dłońmi. — Nie wiedziałeś, że Król nie lubi nikogo. Ale to moja wina, zapomniałam zamknąć okno i naraziłam cię na niebezpieczeństwo. Na szczęście byłam blisko. Nosek się zagoi, raz-dwa, zobaczysz. No, nie płacz, już, nie płacz!

Łatwo było jej mówić, nos palił mnie żywym ogniem, ucho, rozdarte pazurami, piekło tak, że miałem wrażenie, że zaraz odpadnie. Trząsałem się, piszcząc i nie mogłem

przestać bardzo długo. W końcu Babcia westchnęła i powiedziała:

— Jutro zabiorę cię do weterynarza. I tak miała się tam z tobą wybrać, czekałam tylko na emeryturę, wiesz? Trzeba będzie iść wcześniej, niech cię fachowiec opatrzy. A o pieniądze będziemy się martwić kiedy indziej.

Cała noc płakałem i stękałem, Babcia siedziała ze mną na kolanach w dużym fotelu pod oknem i głaskała mnie delikatnie, ale nie umiała mi pomóc. Kurzawa leżała u jej stóp ze smutną miną, nieskora do zabawy, trzymając smukły pysk na babcinej stopie. Groszek spał, pochrapując na dywaniku przy łóżku razem z Mrusią, tylko Król siedział z wyniosłą miną i kątem oka obserwował mnie i Babcie. Wiedziałem, że zapamiętał dobrze, komu zawdzięczał bliskie spotkanie ze starym kapciem.

Z samego rana Babcia jeszcze raz przemyślała moje rany, miała zatroskaną minę i zmarszczone brwi, a gdy nie chciałem zjeść śniadania bardzo się zasmuciła. Zawinęła mnie w kocyk, który zacząłem uważać już za swoją prywatną własność i wzięła ostrożnie na ręce.

— Kurzawo, Groszku, wy zostajecie. Jedziemy do miasta! — powiedziała. — Macie być grzeczni i nie drzeć się bez opamiętania, bo mnie sąsiedzi w końcu na taczkach przez was wywiozą. A ty! — zwróciła się do Króla, siedzącego na kuchennym stole — Wynocha na dwór! Strach cię z innymi w domu zostawić bez nadzoru!

Król nie bardzo chciał wychodzić, tym bardziej, że pogoda tego dnia była raczej niezachęcająca, kropiło i było chłodno, ale kiedy Babcia machnęła w jego kierunku ścierką, zasyczał na nią i umknął przez uchylone drzwi. Po drodze posłał mi takie złe spojrzenie, że nos i ucho rozboleły mnie od niego jeszcze bardziej.

Wyszliśmy, żegnani tęsknym piszczeniem Groszka. Babcia niosła mnie ostrożnie, drepzcząc powoli przez wieś. Mimo bólu rozglądałem się uważnie dookoła, nigdy

nie widziałem jeszcze tylu domów i ludzi. Większość tych domów, jeśli nie wszystkie było dużo większych od domu mojej Babci, ale żaden nie wydawał mi się tak piękny, jak ten, w którym mieszkałem. Ludzie pozdrawiali moją Babcie, niektórzy pytali nawet, kim jestem i co mi się stało, ale Babcia zbywała ich tylko machnięciem dłoni, mówiąc, że bardzo się spieszy. W końcu Babcia weszła ze mną do takiego dziwnego domu, w którym było mnóstwo foteli, a na tych fotelach siedzieli ludzie. Pachniało nieprzyjemnie, od razu zrobiło mi się niedobrze, schowałem poraniony nos w kocyk, by choć trochę odgrodzić się od tych wszystkich woni. Nagle dom zatrzęsnął się i zaryczał straszliwie i ku mojemu przerażeniu zaczął się poruszać, nabierając prędkości. Spojrzałem w okno i zobaczyłem uciekające do tyłu domy, drzewa i krzaki, wszystko dygotało, łącznie ze mną, a zapachy były coraz bardziej dokuczliwe. Nie mogłem tego znieść, chciałem uciekać, wrywałem się mojej opiekunce i płakałem, aż chyba od tego wrywania, płaczu, a także z bólu zrobiło mi się jeszcze gorzej i zwymiotowałem wprost na bluzkę Babci. Babcia nic nie powiedziała, wyjęła chusteczkę i wytarła bluzkę, lecz pani siedząca koło nas zakryła ręką usta i szybko wstała.

— Z takimi kundlami to się autobusami nie jeździ! — powiedziała do mojej Babci. — Kto to widział brać psa tam, gdzie ludzie siedzą, jeszcze takiego parszywego!

— Sama pani jesteś parszywa! — odpowiedziała Babcia twardym głosem. — Jak pani przeszkadzamy, proszę się przesiąść, obie na tym skorzystamy.

— Bezczelna, brudna starucha! — burknęła tamta pani, ale przeniosła się na inne, dalsze miejsce, z wielce oburzoną miną. Babcia przytuliła mnie i pogłaskała delikatnie, szepcząc do mnie cichutko:

— Jesteś ślicznym, mądrym, malutkim pieskiem. Nie słuchaj głupich bab, Topiku!

Kiedy w końcu wysiedliśmy byłem taki słaby, że nawet nie miałem sił przyglądać się okolicy, zresztą to, co widziałem, niezbyt mi się podobało. Wszędzie pełno ludzi i jeszcze jakieś szybko poruszające się i ryczące potwory, które przemykały blisko nas, ogromne domy i nieprzyjemne zapachy. Jeśli tak wygląda miasto, pomyślałem sobie, to ja zdecydowanie nie chciałbym w nim mieszkać.

Moja kochana Babcia weszła ze mną do jednego z tych domów. Wewnątrz siedziało kilka osób z psami albo kotami, bezpiecznie zamkniętymi w takich śmiesznych, małych pudełkach, które, jak później dowiedziałem, nazywały się kontenerki. Nawet nie bałem się jakoś specjalnie, siedziałem na kolanach u mojej opiekunki i czułem się bezpiecznie. Kiedy pan w białym ubraniu poprosił nas do drugiego pomieszczenia, zacząłem jednak bać się bardziej. Babcia weszła tam ze mną i postawiła mnie całkiem samego na takim okropnie wysokim i zimnym stole. Ten człowiek w białym obejrzał mój poraniony nos, pomacał boczki, zajrzał mi do gardła, a potnij, o zgrozo, wsadził mi w to miejsce po ogonem jakiś patyk. Oczywiście narobiłem wrzasku, żeby nie myślał sobie przypadkiem, że mi się to podobało. W końcu powiedział mojej Babci, że trzeba mnie koniecznie odrobaczyć i zaszczepić, żebym nie zachorował. Razem wsadzili mi na siłę do gardła gorzką tabletkę, a Babcia trzymała mnie, kiedy ten pan smarował mój nos jakimś podejrzany mazidłem. Bardzo się ucieszyłam, gdy w końcu wyszliśmy z tego miejsca, nie wiedziałem wówczas, że ten człowiek w białym ubraniu to psi lekarz, weterynarz, do którego wszystkie zwierzęki powinny od czasu do czasu się wybrać, nawet jeśli było im to wyjątkowo nie w smak.

Rosłem i męzniałem z dnia na dzień, Króla jednak nauczyłem się skutecznie unikać. Babcia pozwalała mi już wychodzić ze sobą do ogrodu, gdzie w towarzystwie

Kurzawy i Groszka pomagałem jej w pracy. Kopałem dziury większe niż ja sam, przesadziłem kilka krzaków pomidorów i truskawek, pogryzłem rękawiczki i wyniosłem za dom motykę. Babcia trochę się dąsała, lecz nie gniewała długo, wiedziała najwyraźniej, że starałem się najlepiej, jak potrafiłem.

Jednak kiedy rozkopałem całą górę kompostu, część zjadłem a w reszcie się wytarzałem, Babcia nie wytrzymała i nakrzyczała na mnie.

— Będziesz, śmierdzielu, spał na dworze razem z Królem! — powiedziała surowo. — Nie mam zamiaru cię kąpać!

Zmartwiłem się nie na żarty, bo spanie z Królem, wszystkie jedno, czy na dworze, czy pod dachem nie było szczytem moich marzeń. Groszek podszedł do mnie, trącił mnie swoim wielkim nosem, o mało mnie nie przewracając przy okazji i powiedział z powagą:

— Topiku, musisz być grzeczny i nie robić takich rzeczy. Zobacz, ani ja, ani Kurzawa niczego nie gryziemy i nie kopiemy, gdzie nie wolno. Nasza Babcia jest kochana, lecz nie ma już tyle sił, by naprawiać to, co ty zepsujesz.

— Wcale nie psuję! — oburzyłem się. — Pomagam!

— To może pomagaj mniej! — odezwała się Kurzawa, która do tej pory leżała pod krzakiem porzeczek i udawała, że śpi. — Babcia jest stara, rozchoruje się przez ciebie! I kto się nami zajmie, co?

— Co to znaczy stara? — zdziwiłem się.

— To znaczy, że żyje już bardzo długo i szybko się męczy — odpowiedziała Kurzawa. — Dlatego my musimy o nią dbać, a już na pewno nie wolno nam niczego niszczyć. Mamy tylko ją.

— A ona tylko nas — dodał Groszek.

Od tego dnia przestałem kopać dziury w ogródku, czasem coś tam pogryzłem, bo trudno było się powstrzymać, kiedy zęby tak strasznie swędziały, lecz starałem się gryźć

tylko to, co nie było Babci potrzebne, jak na przykład buty, które stały od zawsze w sieni, a Babcia wcale w nich nie chodziła. Jak się okazało, to też nie było dobre, Babcia bowiem ręce załamała, kiedy znalazła jeden z nich z artystycznie obgryzioną cholewką.

— Jedną parę wyjściową raptem miałam... — westchnęła zrezygnowana. — Co prawda i tak nigdzie nie wychodziłam, więc w sumie nic takiego się nie stało — dodała, widząc moją zasmuconą minę. — Ale następnym razem może najpierw zapytaj, czy można się czymś bawić.

Przyszła jesień, a z nią chłody i deszcze. Nam psom, oczywiście zupełnie one nie przeszkadzały, nadal chętnie bawiliśmy się na zewnątrz, biegaliśmy po mokrej trawie, piliśmy wodę z kałuż i łapaliśmy w nozdrza nowe wonie. Uwielbiałem wskakiwać w kupki świeżo zgrabionych liści, taplać się w błocie, nieco mniej podobało mi się później wycieranie łap, ale bez tego zabiegu nie miałem co marzyć o wejściu do domu, Babcia była nieustępliwa. Kiedy spadł pierwszy śnieg nie posiadałem się z radości, biegałem po miękkim, białym puchu, łapałem go z zęby, przewracałem się w nim tak długo, że w końcu sam wyglądałem jak śniegowa kulka.

— Proszę, jaki śliczny bałwanek z naszego Topika! — śmiała się Babcia Jasia, obserwując moje harce — Jeszcze ci, piesku, marchewki brakuje!

— Niczego mu nie brakuje, to bałwan nawet bez śniegu! — burknęła Kurzawa, ale sama też ukradkiem jadła śnieg, kiedy myślała, że nikt jej nie widzi. Udawała poważną psią damę, lecz tak naprawdę wciąż była szalona i skora do zabawy. Groszek w swoim grubym i gęstym futrzanym kożuchu kładł się wprost na śniegu, zadowolony i uśmiechnięty. Nie bawił się z nami, nie biegał i nie szalał, cieszył się życiem na własny, groszkowy sposób. Bardzo go lubiłem, a także szanowałem, bowiem wiedziałem, że w razie niebezpieczeństwa Groszek, chociaż podobny

do pluszowego niedźwiadka, potrafił być naprawdę groźny, a jego basowe szczekanie robiło wrażenie na każdym psie, włącznie ze mną.

Szczęśliwe to były czasy, beztroskie, niewinne... jakże często wspominam moich przyjaciół, nasz mały, drewniany domek, ogrodzony krzywym płotem, podwórko, na którym spędzałem tyle czasu. I ją, Babcię Jasię, jej stwardniałe od pracy, kochające dłonie, jej ciepły głos, zapach. Oddałbym wiele, by jeszcze kiedyś zobaczyć Kurzawę i Groszka, a nawet Mrusię, dowiedzieć się, że są zdrowi i bezpieczni, niestety, to raczej pozostanie na zawsze w strefie marzeń.

Nastał grudzień, w naszym domu pojawiło się świąteczne drzewko, na którym Babcia zawiesiła kolorowe ozdoby i kategorycznie zakazała się nimi bawić. Była radosna, podśpiewywała sobie nawet, krzątając się w kuchni, przygotowywała moc smakowitych potraw. Kiedy zapytałem Kurzawę, co to za okazja i kiedy będziemy mogli wreszcie zjeść to wszystko, co przygotowała, ta roześmiała się i trąciła mnie łapą, jak to miała w zwyczaju.

— To nie dla nas, głupolu! — wyjaśniła. — Przyjeżdża córka naszej Babcy. Ona rzadko tu do nas zagląda, mieszka daleko i nie ma czasu. Ale pojutrze przyjedzie. To dlatego Babcia jest taka radosna. A my będziemy musieli być grzeczni i nie naprzykrzać się zanadto.

— I nic z tego jedzenia nie dostaniemy? — zmartwiłem się.

— Oczywiście, że dostaniemy! My też jesteśmy dziećmi naszej Babcy, co z tego, że mamy cztery łapy i ogony! Każde z nas będzie mogło najeść się do syta.

Wieczorem Babcia, nadal w doskonałym nastroju, jednak bardzo zmęczona, ułożyła się wraz z nami do snu. Przytuliłem się do jej boku, tak, jak zawsze, czułem się kochany i bezpieczny. Pomyślałem sobie, jakie to szczęście

mieć taki dobry dom, gdzie pies czuje się potrzebny, kochany. Gdybym wtedy wiedział...

Obudziłem się w nocy nagle i jak mi się wydawało, bez przyczyny, czułem przerażenie, chociaż sam nie wiedziałem, z jakiego powodu. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że coś przyszło podczas snu i sprawiło, że nasza Babcia nas zostawiła. Pachniała tak, jak kiedyś moja mama — śmiercią. Zerwałem się i zacząłem lizać twarz mojej opiekunki i jej ręce, chciałem sprawić, by znów było jak zwykle, chociaż wiedziałam nadto dobrze, że to naderemne, lecz nie potrafiłem przestać. Wyrwane ze snu Kurzawa i Groszek także były przestraszone, usiadły obok siebie przy łóżku i spoglądały pełnymi łez oczami. Kurzawa podniosła w górę swój piękny, smukły pyszczek i zapłakała głośno, za chwilę to samo uczynił Groszek, ja jednak nie potrafiłem rozpaczać. Moje małe psie serduszek było tak pełne żalu, lecz nie umiałem go wyrazić. Położyłem się na powrót u boku Babci Jasi, zupełnie jakbym chciał swoim ciepłem ogrzać jej stygnące ciało.

Dopiero, kiedy słońce stało już wysoko na niebie zeskoczyłem na podłogę i ze spuszczonego uszami i podkulonym ogonem powędrowałem do kuchni. Chociaż byłem bardzo smutny, byłem także nadal młodym, ciągle rozwijającym się psiakiem i po prostu zrobiłem się głodny. Na stole stały miski, w których babcia wieczorem zostawiła do wystygnięcia różne pyszne rzeczy. Wskoczyłem na taboret, a stamtąd na stół, nie przejmując się zupełnie wszelkimi zakazami.

— Co ty robisz, Topiku, nie wolno nam! — Krzyknęła Kurzawa, kiedy to zobaczyła.

— Młody ma rację, Kurzawo — odezwał się posępnie Groszek. — Niech zajada, ile chce, teraz już wszystko jedno. Nie ma naszej opiekunki, nikt się tym nie przejmie.

Siedzieliśmy zamknięci w domu do późnego popołudnia, gdy wreszcie ktoś z sąsiadów zaczął się zastanawiać,

czemu Babcia nie wychodziła od rana, a my hałasowaliśmy i szczekaliśmy rozpaczliwie. Przyjechali panowie w niebieskich ubraniach, i bez pytania weszli do naszego domu. Trochę się wystraszyli Groszka, ale on skulił się, zupełnie, jakby nie był wielkim oraz silnym psem i umknął przez uchylone drzwi. Kurzawa schowała się pod stołem, a ja uciekłem do pokoju, gdzie leżała Babcia i wlałem głęboko pod łóżko, skryłem się w najciemniejszym kącie wśród kurzu i pajęczyn. Panowie wyciągnęli jakieś urządzenia, mówili do nich i niebawem przyjechał kolejny samochód, tym razem z panią i panem w białym ubraniu, zupełnie takim samym, jakie nosił ten psi lekarz, do którego Babcia mnie zabierała. Pachnieli też podobnie, jak on. Zabrali naszą opiekunkę, naszą kochaną żywicielkę, wypędzili na zewnątrz Kurzawę, o mnie jednak nie mieli pojęcia, siedziałem cichutko jak myszka i nie miałem zamiaru się ujawniać. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, ostrożnie opuściłem moją kryjówkę. Wskoczyłem na łóżko, które wciąż pachniało bezpieczeństwem i miłością, zwinąłem się w kłębek na babcinej poduszce. Chciałem poczuć jeszcze raz, że jestem kochany, niestety, poczułem jedynie, to, że zostałem całkiem sam.

Rankiem drzwi znowu otworzono i do środka weszło bardzo dużo różnych, nie znanych mi ludzi. Uciekłem w moje miejsce pod łóżkiem i schowałem się z nadzieją, że nikt mnie nie dostrzeże. Tym razem jednak nie udało mi się pozostać niezauważonym. Ktoś odsunął łóżko i silne ręce pochwyciły mnie za kark i podniosły do góry.

— Ile ona miała tych psów? — zapytał mężczyzna, który mnie trzymał. — To już trzeci.

— I mam nadzieję, że ostatni. — odpowiedziała stojąca naprzeciwko kobieta. — Nie mam pojęcia, co my z nimi zrobimy.

— Tego wielkiego to sąsiad już wziął — odpowiedział mężczyzna. — Ale ta chuda suka i ten mały... Przecież ich nie zabierzemy ze sobą do miasta.

— Wykluczone! Nie mamy ani miejsca, ani czasu. Ja ponadto nie mam ochoty skończyć jak moja matka, otoczona zgrają śmierdzących kundli i zapchlonych kotów. Dobrze, że jej nie ponadgryzały z głodu, chociaż pewnie nie zdążyły. Wyrzuć tego burka na dwór, czuć tu psem.

Mężczyzna chwycił mnie mocniej i po chwili wylądowałem na zewnątrz, gdzie jeszcze nie tak dawno tak wesoło i chętnie się bawiłem. Podwórko wydawało mi się teraz inne, obce i ponure, jakby wraz z Babcią Jasią z domu i obejścia zniknęła cała radość, która tu mieszkała. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby nie Kurzawa, która wyskoczyła z krzaków, gdzie się schowała.

— Musimy uciekać! — szepnęła. — Ci ludzie zrobią nam coś złego albo zamkną gdzieś! Albo uwiążą jak Groszka i już nigdy nie będziemy mogli się bawić.

— Jak to, gdzie jest Groszek? — zapytałem, rozglądając się dookoła z nadzieją.

— Zabrali go, chodź, pokażę ci, co z nim zrobili, a potem uciekniemy oboje. Mieszkałeś w lesie, powiesz mi, co i jak, damy radę.

Pobiegliśmy, Kurzawa mknęła jak wicher, ledwie za nią nadążałem, ale wyciągałem z całych sił krótkie łapki, bojąc się, żeby mnie nie zostawiła i ona. Kiedy mijaliśmy sąsiedni dom, zobaczyłem Groszka, stał zrezygnowany, ze zwieszoną głową.

— Groszku, Groszku! — zawołałem. Chciałem pobiec do niego, przytulić się do miękkiego futra, ale dom był otoczony szczelnym i wysokim płotem. — Groszku! Dasz radę przeskoczyć tu do nas?

Groszek tylko pokręcił łbem, a wtedy zobaczyłem, że na szyi miał coś, co pobrząkiwało przy każdym ruchu.

— Założyli mu łańcuch, Topiku — westchnęła Kurzawa. — Nie może się uwolnić i iść z nami.

— Nie może przegryźć tego łańcucha? Przecież ma największe zębiska na świecie.

— Żadne zęby nie przygryzą żelaza, głupolu — odpowiedziała. — Nie ma na świecie psa, który by to potrafił. Lepiej uciekajmy, zanim i nam założą takie więzy!

Pobiegliśmy przed siebie, wprost przez oszronione pola ku lasowi, gdzie, jak myślała Kurzawa, będziemy potrafili żyć wolni. Nie wiedziała jednak, że ja, chociaż urodziłem się w opuszczonej lisiej jamie, niewiele wiedziałem o życiu wśród drzew. Już po dwóch dniach oboje mieliśmy dość tułaczki. Ja byłem bardzo głodny i chociaż próbowałem jeść zmarzniętą trawę i ziemię, tylko rozboleł mnie brzuch. Kurzawa też była głodna, nie potrafiła upolować nawet myszy. W końcu znaleźliśmy jakieś puszki, w których zostało trochę nieświeżego jedzenia, wszystkie wylizaliśmy do czysta, ja zjadłem nawet kawałek pachnącego kiełbasą papieru, lecz nie na długo nam to wystarczyło.

— Idziemy do ludzi! — zdecydowała w końcu moja towarzyszka — Żadne z nas dzikie psy, zginiemy tu. Jest mi zimno, głodna jestem, łapki mnie bołą. Chcę mieć dach nad głową i pełną miseczkę.

— Dobrze, Kurzawo, wracamy. Ale nie boisz się, że ludzie uwiążą nas na łańcuchach, jak Groszka? — zapytałem.

— Jak tylko zobaczymy człowieka z łańcuchem, uciekniemy.

Błąkaliśmy się po lesie jeszcze przez kilka godzin, ale w końcu udało nam się dotrzeć do cywilizacji. Naszym oczom ukazały się pierwsze zabudowania. Nie sądziłem, że tak ucieszy mnie widok domów, ogrodzonych podwórek, przechadzających się po nich kur, samochodów i ludzi. Nie była to nasza wieś, ale nie przejmowaliśmy się tym zupełnie, w tej naszej nie było już dla nas miejsca. Pobiegliśmy brzegiem szosy, trzymając się pobocza, z nosami przy ziemi w poszukiwaniu wyrzuconych resztek, leżących skórek od chleba i wszystkiego, co nadawało się do jedzenia. Nie było tego zbyt wiele, nadal byliśmy głodni. Jednak w końcu natrafililiśmy na prawdziwe Eldorado — śmietnik.

Ile tu było dobroci, ci ludzie nie mają bladego pojęcia, co to znaczy głodny i pusty brzusek i wyrzucają całkiem dobre jeszcze jedzenie. Znaleźliśmy nawet troszkę mięsa, ale całe dostało się Kurzawie, bo była większa i szybciej jadła. Ja za to znalazłem pół kanapki z czymś pachnącym i słonym, dwie kości, trochę już nieświeże i mnóstwo pysznych papierków. Najadłem się do syta!

Kiedy zaczęło robić się ciemno i strasznie, schowaliśmy się w takiej szerokiej rurze, w której było trochę zwiedłych liści oraz patyki i tam przytuleni jedno do drugiego, zapadliśmy w niespokojny sen. Wcześniej rano sam wyszedłem na poszukiwanie jedzenia, bo papierki i pół kanapki dawno gdzieś się ulotniły i znowu byłem głodny. Dreptałem sobie brzegiem drogi, aż zawędrowałem pod taki duży budynek, do którego wchodziłi mali ludzie. Na tych małych ludzi nasza Babcia Jasia mówiła dzieci. Większość z nich nie zwróciła na mnie uwagi, ale były wśród nich także takie, którym żal się mnie zrobiło. Głaskały moją główkę, mówiły, że jestem śliczny, a dwie dziewczynki otworzyły torby i wyciągnęły z nich pyszne kanapki. Zjadłem wszystko szybko, bałem się, że jeszcze się rozmyślą i zabiorą mi to jedzenie. Niestety, dziewczynki poszły i zniknęły za drzwiami, i znowu zostałem sam jak palec. Chciałem biec za nimi, lecz drzwi były szczelnie zamknięte, więc położyłem się w krzakach obok schodów z zamiarem zaczekania, aż dzieci znowu się pojawią.

Ledwie zdążyłem zasnąć, poczułem uderzenie, takie mocne, że zacząłem płakać na cały głos, potem poczułem następne, jeszcze silniejsze. Zerwałem się i wyskoczyłem z krzaków, zobaczyłem mężczyznę, który miał czerwoną i wściekłą twarz. Człowiek ten trzymał w ręku kij i to tym kijem właśnie kilka razy mnie uderzył. Grzbiet bardzo mnie bolał, coś też stało się z jedną moją nóżką, nie mogłem dobrze na niej stanąć, zupełnie, jakby przestała mnie słuchać. Kulejąc i ciągnąc za sobą niesprawną łapę, ucie-

kłem najszybciej jak byłem w stanie, z powrotem do drogi i rury, w której spędziłem noc. Byłem pewien, że Kurzawa czekała tam na mnie, a ponieważ była bardzo mądra sądziłem, że będzie potrafiła mi pomóc. Jednak, gdy w końcu dotarłem w miejsce, w którym oboje spaliśmy, okazało się ono puste, a po Kurzawie został jedynie nikły ślad zapachu. Nie wiem do dziś, co się z nią stało, nigdy już jej nie spotkałem.

Wpełzłem do wilgotnej, ciemnej rury i zwinąłem się w kłębek na posłaniu z zeschniętych liści. Leżąc wyobrażałem sobie, że to miękkie łóżko mojej Babci, a ona sama zaraz nadejdzie, by pogłaskać mnie i powiedzieć, że jestem dobrym psem. Nie na wiele się to zdało. W moim nowym domu nadal było mokro i zimno, grzbiet wciąż bolał, a kiedy spróbowałem polizać to miejsce, w które zły człowiek mnie uderzył, poczułem smak krwi. Łapka wciąż nie chciała mnie słuchać, leżała zupełnie nieruchomo i zrobiła się gorąca i gruba. Pomyślałem, że chyba też przyjdzie mi umrzeć, zupełnie jak mojej mamie i Babci Jasi. Tak mnie to zasmuciło, że zacząłem płakać i nie mogłem przestać, piszczałem coraz głośniej i głośniej, żaląc się na zły los, ból, głód i samotność, na którą nie zasługiwał żaden zwierzak, nawet taki niedobry, jak Król. I wtedy pojawiła się dobra wróżka.

## Rozdział 2

Dwie silne ręce pochwyliły mnie i wyciągnęły, a osoba, do której należały wcale nie przejęła się tym, że jestem brudny i mokry. Złapała mnie mocno i przytuliła do siebie, chociaż usiłowałem się wyrwać i nawet trochę gryzłem. Kiedy zorientowałem się, że nic złego mi się nie stało i poczułem, jaka była ciepła, zaprzestałem dalszej walki. Uniosłem główkę, spojrzałem w jej twarz i wierzcie mi, lub nie, z miejsca się zakochałem.

Moja wybawicielka miała śliczną twarzyczkę w kształcie serca, burzę jasnych włosów i najmiłszy uśmiech na świecie. Poczułem nieodpartą potrzebę wycałowania jej policzków, ust i nosa, co oczywiście natychmiast uczyniłem, a ona ze śmiechem przygarnęła mnie jeszcze bardziej. Chociaż bolały mnie poobijane i pokaleczone plecki, a nóżka ciągle nie chciała mnie słuchać i tak byłem w siódmym niebie!

— Biedny mały, śmierdzący brudasku — powiedziała czule. — Nie bój się, cukiereczku. Już wszystko będzie dobrze, zobaczysz!

Moja dobra wróżka, którą nazwałem ciocią, zaniosiła mnie do samochodu i wsadziła do takiego kontenerka, jak dla kota. Protestowałem, nie jestem wszak żadnym kotem, tylko prawie dorosłym psem, a szanujące się psy nie wożą się w kocich pudełkach, ale na próżno, ciocia była nieugięta. Samochód ruszył, ja się darłem, a ciocia... ciocia zaczęła śpiewać:

*„Puszek okruszek*

*Puszek kłębuszek  
Bardzo go lubię  
Przyznać to muszę  
Puszek okruszek  
Kłębuszek  
Jest między nami sympatii nić (...).<sup>1</sup>*

Nigdy nie słyszałem nic piękniejszego, przestałem się wydzierać i siedziałem zasłuchany, zupełnie, jakby nowa ciocia rzuciła na mnie zaklęcie. Rozdarłem się dopiero, kiedy zorientowałem się, że przyjechaliśmy do weterynarza. I to wcale nie do tego, do którego woziła mnie Babcia Jasia, tylko całkiem innego i bynajmniej nie mniej przerażającego.

U tego nowego weterynarza było mnóstwo ludzi w białych ubraniach, wszyscy pochyłili się nade mną, wrywającym się i płaczącym w niebogłose, kiwali głowami, dotykali moich obolałych placów i nóżki, co to przestała mnie słuchać, przykładali do mnie różne przedmioty, oczywiście, musieli także zmierzyć mi temperaturę, co jak wiecie jest niezwykle uwłaczające, zaglądali mi do uszu i do oczu. W końcu ukradli mi futerko z łapki, ukłuli w wygolony placek i więcej nie pamiętam.

Kiedy się obudziłem dookoła było ciemno i cicho, czułem zapach innych psów, lecz kiedy chciałem wstać i uciekać stamtąd czym prędzej, okazało się, że nie mogę, bo jestem uwięziony! Przeraziłem się nie na żarty, na wszelki wypadek sprawdziłem też, czy nie przyczepiono mnie do łańcucha, ale na szczęście nic takiego nie miało miejsca, niemniej byłem zamknięty w klatce. Co z tego, że miałem w niej miękkiego kocyk i znalazłem nawet miseczkę z wodą, klatka to klatka, nic tego nie mogło zmienić.

<sup>1</sup> Autor Jerzy Dąbrowski.

Spróbowałem przegryźć zimne, metalowe pręty, lecz Kurzawa miała rację, psie zęby nie były dość mocne, by tego dokonać. Potem sprawdziłem, czy przypadkiem nie uda mi się wykopać dziury i wyjść, lecz bezskutecznie, efekt był tylko taki, że wylałem wodę i teraz miałem w moim więzieniu nie ciepły miły koc, a mokry gałgan. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko zacząć płakać i pisać z całych sił.

Piszczalem i piszczałem strasznie długo, w końcu rozbłysło światło, drzwi się otworzyły i do środka weszła wcale nie moja ciocia tylko jakaś zasnana pani w białym ubraniu. Skuliłem się w obawie, że znowu ukradnie mi futerko i ukłuje mnie, lecz ona tylko podeszła do prętów i pogroziła mi palcem:

— I coś narobił, łobuziaku? — zapytała. — Woda wylana, posłanko mokre, a ja zamiast spać będę teraz z tobą wojować. Niedobry pies!

Zaprotestowałem cicho, bo Babcia Jasia zawsze mi mówiła, że jestem dobry, a nawet kochany i śliczny. Ta w białym najwyraźniej nie znała się na psach ni trochę! Otworzyła drzwiczki, ale była za sprytna, nie udało mi się wymknąć na wolność, chociaż bardzo się starałem, lecz ta głupia nóżka mi przeszkadzała. Pani zabrała mokry kocyk i miseczkę, poszła gdzieś, a kiedy się pojawiła znów bardzo szybko otworzyła wejście do klatki, złapała mnie, bym nie czmychnął, włożyła do środka suchy ręcznik i miseczkę pełną świeżej wody.

— Siedź z łaski swojej cicho i odpoczywaj, jutro ciężki dzień czeka nas oboje! — powiedziała.

Nie wiedziałem, co to jest ciężki dzień, ale nie brzmiało to zachęcająco nic a nic. Położyłem się na ręczniku, żalując, że wylałem wodę na koc, który był znacznie wygodniejszy i zrezygnowany usnąłem. Rano obudziła mnie krzątanka i głosy, a wśród nich ten najpiękniejszy na świecie.

— Ciociu, ciociu! — krzyczałem ze wszystkich sił. — Tu jestem, zamknęli mnie w klatce! Chodź, ratuj swojego psa!!!

I ciocia przysłała, a jakże, niestety, wcale mnie nie uratowała, nie do końca, chociaż z klatki wyjęła i ucałowała, lecz potem oddała mnie znowu weterynarzom w białych kitlach. Poczułem się zdradzony, porzucony i nieszczęśliwy, więc zacząłem płakać z całej mocy, niestety, nic to mi nie pomogło. Ludzie ci zabrali mnie do innego pokoju, gdzie było dużo świateł i stały różne dziwne przedmioty. Pachniało też dziwnie, obco, wcale mi się te zapachy nie podobały. Przytrzymano mnie i pokłuto znowu, i tak jak wcześniej zasnąłem, nie wiedziałem więc, co się ze mną działo. Kiedy się obudziłem stwierdziłem zrezygnowany, że na powrót znajduję się w klatce, w dodatku mam coś na szyi, co wyglądało jak abażur i zupełnie nie było wygodne. Zepsuta nóżka była jakaś ciężka, a kiedy tam popatrzyłem, przekonałem się, że nałożono mi na nią jakieś białe i sztywne coś. Chciałem to zdjąć, lecz przez ten abażur nie mogłem dosięgnąć, poza tym, kręciło mi się w głowie i miałem bardzo mało sił. Położyłem się na brzuszku i czekałem, aż wróci moja ciocia i mnie uratuje, tym razem na dobre.

Ciocia pojawiła się dopiero wieczorem, jednak znowu nie po to, żeby mnie uratować. Rozmawiała tylko długo z panią w białym ubraniu, obie były bardzo przejęte, spoglądały przy tym na mnie i kiwały głowami z powagą. Ani trochę mi te ich poważne miny nie przypadły do gustu. W końcu ciocia podeszła do mnie i otworzyła drzwi klatki. Długo głąskała moje futerko, pocałowała mnie w nosek, lecz ani nie zdjęła mi z szyi tego niewygodnego kołnierza, ani nie zabrała ze sobą. Była bardzo smutna i ja też byłem smutny, nie tylko dlatego, że zostawiła mnie tu, zamkniętego za kratami, chociaż niczego złego nie zrobi-

łem, ale także z tej przyczyny, że jej smutek bolał mnie bardziej, niż własny.

Spędziłem kolejną noc w klatce, ale już nie płakałem, zrozumiałem, że nic tym nie zyskam. Leżałem cichutko i czekałem, trochę spałem, trochę nasłuchiwałem tego, co działo się dookoła mnie. Nie byłem tu sam, w pomieszczeniu były też inne klatki, a w nich siedziały pozamykane psy i koty — towarzysze mojej niedoli. Oni także nie płakali, czasem któreś z nich wdychało ciężko, albo stękało z bólu, nikt jednak nie wydzierał się bez potrzeby.

— Kim jesteście? — zawołałem. — Czemu się tu znaleźliście?

— A ty, kim jesteś? — odezwał się ktoś cichutkim głosem.

— Ja jestem Topik- Brudasek! — odpowiedziałem. — Moja Babcia Jasia umarła i stałem się bezdomnym psem. Zły pan uderzył mnie, chociaż nic mu nie zrobiłem i zepsuł mi nóżkę.

— Ja jestem Zojka — odparł ten sam głos. — Mieszkałam z moim państwem, którzy bardzo mnie kochali. Zabrali mnie na przejażdżkę, a kiedy samochód się zatrzymał, kazali mi wyjść i zostać na drodze. Czekałam, aż wrócą, ale nie wrócili. Martwię się, że coś im się stało...

— Ja jestem Maks — usłyszałem gruby głos jakiegoś dużego psa. — Też mieszkałem ze swoim człowiekiem, myślałem, że jestem dla niego ważny, ale się myliłem. Wyjechał, a mnie oddał ludziom, którzy o mnie nie dbali. Zachorowałem, dobrze panie mnie zabrały i przywiozły tutaj. Nie mam pojęcia, co będzie ze mną dalej...

— A ja nie wiem, kim jestem — cichutki głosik dobiegł z klatki tuż obok. — Mieszkałam za kratami całe życie. Rodziłam dzieci dwa razy w roku tylko po to, by mi je zabierano. Nikt nie dał mi imienia. Nikt mnie nie kochał nawet przez chwilę. Macie szczęście, że was

kochano, ogromne szczęście. Nawet, jeśli teraz boli, było warto!

— Tak, było warto! — odpowiedziała Zojka.

— Oczywiście, że było warto! — warknął twardym głosem Maks. — Nie żałuję tych dni z człowiekiem, chociaż teraz tak bardzo tęsknię za nim, oddałbym wszystko za jeden dzień u jego boku.

— I ja tęsknię za moją Babcią — powiedziałem. — Była najcudowniejsza na świecie...

Kiedy ciocia przysłała rano i uwolniła mnie z mojego więzienia nie posiadałem się z radości. Chciałem biegać i skakać, ale to sztywne białe coś na mojej nodze strasznie mi przeszkadzało, abażur też nie ułatwiał zadania, więc tylko podrygiwałem i machałem ogonkiem, a nawet całym zadkiem z radości. Ciocia śmiała się ze mnie i mówiła, że jestem śmiesznym psem. A potem wreszcie wyszliśmy na ulicę, na której hulał wiatr i jeździło mnóstwo samochodów. Cieszyłem się, pewien, że ciocia zabierze mnie do siebie, zamieszkać z nią i już zawsze będziemy razem, lecz ona popatrzyła mi w oczy powiedziała:

— Piesku kochany, nie mogę cię zabrać do własnego mieszkania, ale znalazłam ci dobre miejsce. Będiesz tam bezpieczny. A ja poszukam dla ciebie najlepszego domu na świecie, obiecuję!

Znowu zapakowała mnie w kocie pudełko i pojechaliliśmy przed siebie. Długo jechaliśmy, nudziło mi się, ale kiedy tylko zaczynałem płakać i marudzić, ciocia śpiewała, a ja od razu milkłem i słuchałem jej głosu, jak zaczarowany.

— Wiem, jak cię nazwę smyku — odezwała się ciocia, kiedy samochód stanął. — Będziesz miał na imię Meloman!

Zatrzymaliśmy się przed dużym domem, z którego dobiegało szczekanie kilku psów, dwa z nich pojawiły się pod bramą i wcale nie wyglądały, jakby się cieszyły,

że przyjechałem. Przyłgnąłem mocniej do cioci w obawie, że wyskoczą na nas i zjedzą mnie żywcem. Jednak kiedy pojawiły się dwie panie, pieski przestały nam ubliżać i posłusznie usiadły, a my weszliśmy na posesję. Ujrzałem duży, stary dom, ze ścianami, obrośniętymi bluszczem, ogród pełen krzaków i zakamarków, a nawet niewielką sadzawkę. Panie zaprosiły nas do domu, gdzie na powitanie wybiegły ku nam jeszcze cztery psy. Zdziwiłem się, bo trzy z nich też miały na sobie takie same abażury, jak ja, a czwarty nie miał przedniej łapki i oczka, a mimo to uśmiechał się i witał nas z radością. Pomyślałem sobie wtedy, że to chyba rzeczywiście musiało być dobre i bezpiecznie miejsce, skoro nawet bez łapy i oka można być tu szczęśliwym.

Ciocia postawiła mnie na podłodze, a wszystkie psy podeszły, by mnie powąchać i przywitać się ze mną. Nie gniewały się przy tym wcale, nie śmiały z mojego kołnierza, ani z tej zepsutej, sztywnej nóżki, najmniejsza sunia nawet mnie polizła, przy czym nasze kołnierze stuknęły o siebie. Ja się przestraszyłem i przewróciłem, a ciocia i te dwie panie roześmiały.

— Dzieciak jeszcze, a już taki skrzywdzony! — powiedziała jedna z tych pań i podniosła mnie ostrożnie, po czym przytuliła. — Dałaś mu już imię?

— A jakże, znasz mnie, każdemu jakieś daję — odpowiedziała moja ciocia. — Ten wybitnie lubi, jak mu się śpiewa. Nazwałam go Meloman.

— Melomana jeszcze u nas nie było! — roześmiała się druga Pani i podeszła, by mnie pogłaskać. — Będiesz miał u nas dobrze, panie Melomanie!

Zastanawiałem się czy to dobrze obejmuje też nakarmienie mnie, bo chociaż moja ciocia była kochana chyba zapomniała, że pieski mają nie tylko serca, ale i żołądki, na szczęście dwie nowe panie doskonale o tym wiedziały. Zaniosły mnie do największej kuchni na świecie i dały mi miseczkę z jakimiś kulkami. Nie wiedziałem, czym były te

kulki i jak się to je, ale po kilku próbach udało mi się wysypać część na podłogę. Dalej poszło mi całkiem sprawnie. Kulki były znacznie lepsze niż papierki ze śmietnika i skórki od chleba, zjadłem wszystkie.

W nowym miejscu było zupełnie w porządku, pomijając fakt, że nie pozwalano mi spać w łóżku i na noc zamykano w klatce, podobno dla mojego bezpieczeństwa, z czym się absolutnie nie zgadzałem i codziennie moje opiekunki musiały mnie wieczorem ganiać po całym domu. Mimo gipsu na nóżce i abażura na głowie umykałem im całkiem sprawnie, omijając sprytnie przeszkody w postaci mebli i innych psów. W końcu jednak zawsze udawało im się mnie dopaść i zapakować za kratki. Wiedziałem jednak, że skoro świt panie przyjdą i uwolnią mnie, dadzą jeść, wytarłoszą za uszy i pozwolą bawić się w ogrodzie, ile wlezie.

Zaprzyjaźniłem się z najmniejszą sunią, Bunieczką, która mieszkała tu już długo i doskonale znała wszystkie kąty. Razem zwiedzaliśmy ogród, ona nauczyła mnie kopać bardzo ładne dziury, a ja ją jeść ziemię. Razem drzemaliśmy na jednej z wielu poduszek, które leżały na podłodze, czasem nawet jedliśmy z jednej miski, najczęściej wtedy, kiedy zjadałem swoją porcję szybciej, niż Bunia i biegłem jej pomagać.

W końcu nastał wielki dzień. Przyjechała moja ciocia i znowu zabrała mnie w to miejsce, gdzie byli ludzie w białych kitlach, jednak tym razem nie kłuli mnie ani nie robili innej krzywdy, tylko zdjęli mi ten nieszczęsny abażur, a także zabrali nareszcie ten sztywny ciężki gips z mojej biednej nóżki. Kiedy postawiono mnie na ziemi próbowałem chodzić, ale nóżka była jakaś dziwna. Usiadłem, żeby dokładnie ją obejrzeć, wydawała się cienka i jakby nie całkiem moja, choć słuchała mnie znacznie lepiej, niż wtedy, kiedy zły człowiek mnie uderzył kijem.

— Chyba konieczna będzie rehabilitacja — powiedział pan w białym kiltu, ciocia pokiwała głową, a ja zacząłem się zastanawiać, czy ta rehabilitacja jest do jedzenia i jak smakuje.

Ciocia zapakowała mnie do samochodu i znowu ruszyliśmy, ale nie do moich opiekunek, a w kolejne miejsce, które pachniało lekarstwami. Tu jednak niczego złego mi nie uczyniono, wręcz przeciwnie. Miły pan głaskał mnie całego, potem masował delikatnie i długo tę moją nóżkę, a jeszcze później wsadził mnie do takiej dużej miski pełnej wody. Na początku się bałem, lecz woda wcale nie była zimna, a kiedy dno zaczęło się pode mną przesuwać stwierdziłem, że chora nóżka całkiem nieźle sobie radziła. Wcale nie byłem zadowolony, gdy wyjęli mnie z tej wody i zawinęli w ręcznik, chciałem nadal się tak bawić. Miły pan dał mi dobre małe kawałki smakowitego jedzenia, powiedział, że to są ciasteczka. Były pyszne, pomyślałem wtedy, że mógłbym jeść takie ciasteczka całe życie i zamieszkać w tej dużej misce z wodą. Przypomniałem sobie jednak o Bunieczce i o moich dwóch opiekunkach, o ogrodzie, gdzie można kopać dziury i jeść ziemię i już nie chciałem zamieszkać z tym miłym panem od ciastek. Chciałem wracać do domu!

## Rozdział 3

Zadomowiłem się u moich opiekunek, a ciocia odwiedzała mnie systematycznie, jednak pokochałem całym psim serduszkiem także te dwie dobre kobiety Z Bunieczką trzymaliśmy sztamę, nie rozstawaliśmy się praktycznie wcale i chociaż byliśmy najmniejsi w stadzie, jako para nie mieliśmy sobie równych. Chadzaliśmy wszędzie razem, broiliśmy razem, nawet spaliśmy razem, bo odkąd pozbyliśmy się naszych abażurków, skończyło się także zamykanie nas na noc w klatkach. Od czasu do czasu nasz dom odwiedzali jacyś ludzie, oglądali nas, niektórych zabierali na spacer, czasami któryś pies jechał do własnego domu i najczęściej już w nim zostawał. O nas jednak nikt się nie pytał, oboje byliśmy niesprawni, wymagaliśmy leczenia i rehabilitacji, więc byliśmy kłopotliwymi psami. Mnie nadal doskwierała nóżka, która czasem nie chciała mnie słuchać albo bolała, Bunieczka miała problemy z oddychaniem. W końcu jednak los się do mnie uśmiechnął, co prawda na krótko, ale zawsze.

Ludzie, którym się spodobałem przyjechali po mnie z drugiego końca województwa, a kiedy mnie poznali, stwierdzili, że jestem psem idealnym. Oczywiście, zgadzałam się z nimi w zupełności, drugiego takiego jak ja ze świecą próżno bowiem szukać. Zabrali mnie na spacer po mieście, a ponieważ moje dotychczasowe opiekunki też często to robiły, doskonale sobie poradziłem. Szedłem grzecznie, nie ciągnąłem smyczy i tylko raz usiłowałem zjeść kawałek starego chleba, leżący na trawniku. Państwo ci odjeżdżając obiecali po mnie wrócić. Nie mogłem się

doczekać, wiecie? Codziennie rano biegłem pod furtkę sprawdzić, czy może już przyjechali, każdego odwiedzającego witałem z entuzjazmem, myśląc, że oni go przysłali, żeby zabrać mnie do domu. Już myślałem, że o mnie zapomnieli, ale nie, pamiętali i przyjechali w końcu, a wraz z nimi także chłopczyk, z którym miałem zamieszkać. Był mały i trochę się mnie bał, więc szybko go polizałem po rękę, żeby przestał.

Państwo podpisali jakieś papiery, zapakowali mnie do samochodu na tylne siedzenie razem z chłopcem i odjechaliśmy. Jechałem do domu! Do własnego, osobistego domu, w którym miałem być kochany, zaopiekowany i szczęśliwy do końca życia, tak jak mówiła ciocia i panie opiekunki! Jakże się cieszyłem!

Dom trochę mnie rozczarował, nie było ogrodu tylko balkon, nie można było nigdzie wykopać dziury, ale posłanie i miseczki już na mnie czekały. Dostałem jedzenie, wodę, własną obrózkę z adresówką i poczułem się właściciel-skim psem pełną mordą.

I pewnie wszystko byłoby dobrze, bo naprawdę zawsze byłem dobrym i mądrym psem, gdyby nie chłopiec, który nadal się mnie bał. Kiedy podchodziłem do niego, merdając ogonkiem i z najpiękniejszym psim uśmiechem, na jaki było mnie stać, cały zamierał i albo płakał, albo mnie odpędzał, przy czym nigdy nie wiedziałem, co miał zamiar zrobić. Czasami, kiedy jego rodzice nie widzieli, rzucali czymś we mnie, ale ponieważ byłem wtedy młody i nie znałem się zupełnie na ludziach, myślałem, że to taka zabawa. Nawet jeśli trafił wprost we mnie, brałem tę rzecz w zęby i przynosiłem mu w nadziei, że rzuci mi ją znowu. Właśnie przy takiej „zabawie” chłopiec po raz pierwszy mnie uderzył. Nie, żeby zabolalo, nie wtedy, chociaż zapiszczałem, to zrobiłem to bardziej ze strachu i uciekłem do innego pokoju. Kiedy chłopiec uderzył mnie po raz drugi i trzeci bolalo już znacznie bardziej. Zacząłem

go unikać, uciekałem i chowałem się, kiedy wchodził do pokoju, w którym akurat byłem, a gdy zanadto się zbliżał, pokazywałem mu wszystkie zęby.

Któregoś dnia, kiedy siedziałem schowany w kącie za fotelem, chłopiec postanowił mnie stamtąd wykurzyć przy pomocy szczotki. Podszedł do mnie, trzymając ją w rękę, a ja zobaczyłem w nim tego niedobrego człowieka z kijem, który wcześniej uszkodził moją nóżkę. Chłopiec też miał wówczas taką samą brzydką, złośliwą minę, jego oczy zwęziły się i spoglądał na mnie tak, jakby chciał zrobić mi coś bardzo złego. Zaatakowałem i ugryzłem go w dłoń. Bardzo mi za to do dzisiaj wstyd, ale tak właśnie było. Tego samego dnia państwo zapakowali mnie do samochodu i odwieźli z powrotem do domu, z którego mnie zabrali. Nawet nie pożegnali się ze mną, tylko zdjęli mi tę śliczną obrózkę z adresówką, z której byłem taki dumny i wyszli, zostawiając mnie, nic nie rozumiejącego, w ramionach jednej z moich dawnych opiekunek. Chciałem pobiec za nimi, wrywałem się i płakałem, ale na próżno. Wsiadli do samochodu i odjechali, a ja zostałem. Czekają mnie jeszcze jedno rozczarowanie — w czasie, kiedy ja mieszkalem w moim niedoszłym domu, ktoś zabrał moją przyjaciółkę, Bunieczkę. Cieszyłem się, że znalazła swoje miejsce, lecz bardzo, bardzo mi jej brakowało. Mam nadzieję, że żyła szczęśliwa w rodzinie, w której ją kochano i nikt nigdy nie poniósł na nią ręki, uzbrojonej w kij.

Życie wróciło na dawne utarte tory. Spałem, jadłem, bawiłem się z innymi psami, witałem odwiedzających, żegnałem przyjaciół, którzy mieli więcej szczęścia ode mnie i poznawałem nowych, którzy przybywali do naszego małego tymczasowego rajku, by czekać w nim na tych, którzy zechcą dać mi miejsce u swego boku i kawałek serca. Rośłem, nabierałem ciała, futerko zrobiło mi się długie i gęste, a moje kochane opiekunki czesały je troskliwie, żeby błyszczało i nie płało się. Znowu odwiedziłem weteryna-

rza i wróciłem do domu z kołnierzem na szyi, tym razem jednak nie o nóżkę chodziło, a o to, bym nie przyczyniał się do namnażania bezdomności — straciłem rodowe klejnoty. Nie, żebym jakoś szczególnie za nimi rozpaczał, ale z kołnierza chętnie bym zrezygnował, żadna to frajda nosić na szyi abażur.

Przyszła wiosna, a wraz z nią pojawiła się dla mnie nadzieja na własny dom. Tym razem przyjechał po mnie jeden człowiek, mężczyzna, który szukał przyjaciela. Wybrał mnie, ponieważ sam miał trochę niesprawną nogę i utykał. Stwierdził, że będziemy do siebie pasowali.

— Chodź, Meloman, jedziemy do domu! — powiedział, a dla mnie zabrzmiało to jak najpiękniejsza muzyka. Dom! Obiecałem sobie wówczas, że uczynię wszystko, co tylko w psiej mocy, żeby okazać się godnym pozostania w nim na zawsze.

Mój nowy opiekun miał na imię Tom. Mieszkał w niewielkim domu z malutkim ogródkiem, którym od razu się zachwyciłem. Mogłem leżeć na tarasie albo na trawie, patrzeć na przejeżdżające za płotem samochody i przechadzających się ludzi. Tom pokazał mi gdzie są moje miseczki i posłanie, a także bardzo długo coś tłumaczył o kopaniu dziur, z czego niewiele zrozumiałem. Jednak, jak się później przekonałem, nie chodziło mu wcale o kopanie dziur, a o ich niekopanie, bo kiedy zaprezentowałem mu artystycznie wygrzebany przeze mnie dół, tak głęboki, że cały się do niego mieściłem, Tom bardzo się zasmucił i popatrzył na mnie z wyrzutem.

— Zobacz, co narobiłeś — rzekł. — Nie wolno kopać, tłumaczyłem ci. Nie wolno i już!

Pogroził mi palcem i poszedł po coś do domu. Kiedy wrócił, zobaczyłem, że niesie w rękę kij. Bardzo się przestraszyłem, zacząłem biegać skulony po ogródku i płakać. Tom rzucił kij na ziemię i ukląkł na trawie, wołając mnie ciepłym miękким głosem. Kiedy w końcu troszeczkę się

uspokoilem i podszedłem do niego, cały drżący, pogłaskał mnie czule i mocno przytulił.

— Biedny piesku, wystraszyłeś się łopaty? — zapytał. — Ktoś cię bił? Nigdy bym tego nie zrobił, nigdy, rozumiesz? Dobry piesek, grzeczny Meloman!

Nadal się bałem, nie mojego Toma, tylko tego kija, który leżał opodal w trawie. Obawiałem się, że jakimś cudem kij sam mnie uderzy, albo zrobi coś Tomowi. W końcu Tom wziął mnie na ręce i zaniósł do domu, gdzie położył mnie na własnym łóżku, chociaż byłem cały uwalany ziemią i trochę mokry. Sam usiadł tuż obok i długo, delikatnie głaskał moja sierść, mówił mi miłe słowa, aż zasnąłem. Dopiero wówczas Tom wstał i wyszedł do ogrodu, starannie zamykając za sobą drzwi na taras. Kiedy po południu wyszedłem do ogródka, po wykopanej przeze mnie dziurze pozostał tylko ślad w postaci pozbawionego trawy kawałka ziemi, a kija nigdzie nie było widać. Od tej pory Tom troszczył się o to, bym nie musiał oglądać niczego, co chociaż trochę przypominało kij. Jeśli musiał coś zrobić w ogrodzie, albo w domu i kij był mu do tego potrzebny, zanosił mnie do sypialni, gdzie leżałem na miękkim łóżku czekając, aż mój opiekun skończy swoją pracę.

Jak się okazało, Tom w ogóle był bardzo mądrym człowiekiem. Dużo czytał i często coś pisał na takim urządzeniu, które nazywał komputerem. Trochę nie lubiłem tego komputera, bo jak Tom zaczynał w niego stukać, to często zapominał o swoim psie, nie głaskał mnie, ani nie mówił do mnie tak długo, dopóki mu o sobie nie przypominałem. Śmiał się wówczas, stwierdzając, że dbam o jego zdrowie i zapewniam mu przerwy w pracy. Najczęściej wyłączał wówczas nielubiany przeze mnie sprzęt i bawił się ze mną albo zabierał mnie na spacer do parku. Przechadzaliśmy się żwirowymi alejkami, obaj trochę utykający i obaj bardzo zadowoleni z własnego towarzystwa. To były dobre czasy...

Mieliśmy siebie nawzajem na wyłączność, kochaliśmy i wspieraliśmy jeden drugiego. Tom uspokajał mnie, kiedy na zewnątrz szalała burza, tulił w ramionach w czasie sylwestrowej nocy, gdy dookoła wybuchały z hukiem fajerwerki, dawał mi pyszne ciastka, czesał mnie codziennie, aż moja sierść stała się jedwabista i gładka. Ja kładłem mu główkę na nodze, ilekroć zauważyłem, że robił się smutny, co dość często mu się zdarzało. Lizałem jego dobre, łagodne dłonie, spoglądając w oczy i przekazując mu całą gorącą, psią miłość, jaką dla niego żywiłem. Czasem Tom był jednak tak bardzo smutny, że wówczas trudno mi było sprawić, by przestał, ale i na ten kłopot znalazłem rozwiązanie. Łapałem w zęby zabawkę, kapeć czy cokolwiek, co akurat znajdowało się w moim zasięgu i biegałem po całym domu, przewracałem się, skakałem, wygłupiałem tak długo, aż w końcu Tom zaczynał się śmiać. Moja terapia zawsze działała na jego smutki.

Tworzyliśmy doskonały duet, mój Tom i ja, rozumieliśmy się, kochaliśmy jeden drugiego, byliśmy sobie potrzebni. Praktycznie się nie rozstawaliśmy, najwyżej na parę godzin, kiedy mój opiekun musiał jechać w miejsce, w którym nie mogłem mu towarzyszyć. Zawsze wracał do mnie najszybciej jak mógł, chociaż mnie godziny bez niego dłużyły się w nieskończoność.

Kiedy znowu przyszła wiosna, a potem lato, pojechałem na swoje pierwsze wakacje. Tom długo opowiadał mi co będziemy tam robić, i obiecywał, że będzie bardzo przyjemnie. Kiedy jednak zaczął pakować swoje rzeczy do torby podróżnej, trochę się zaniepokoiłem i żeby przypadkiem o mnie nie zapomniał wpakowałem się do wewnątrz. Nie byłem już taki malutki jak dawniej, więc nie zmieściłem się cały, część mnie, ta od ogona strony, wystawała i chyba wyglądała śmiesznie, bo chociaż pogniotłem nie chcący wszystkie spakowane ubrania, mój Tom wcale się nie gniewał tylko roześmiał w głos i wziął mnie na rękę.

— Mały, głupiutki Melomanku — powiedziała. — Przecież obiecałem — wyjeżdżamy razem i będziemy doskonale się bawili!

Następnego dnia wstaliśmy bardzo wcześnie, za oknem było jeszcze szaro i mgliście, Tom zaniósł nasze bagaże do samochodu, a potem kazał mi pozajątwiać wszystkie sprawy w ogródku, które szanujące się psy załatwiają samodzielnie i w samotności. Kiedy ruszyliśmy, byłem bardzo podekscytowany, bo chociaż nadal nie bardzo rozumiałem, czym właściwie miały być te wakacje, cieszyłem się, że jedziemy razem, we dwóch. My dwaj — przyjaciele do grobowej deski, ruszaliśmy na podbój świata!

Jechaliśmy i jechaliśmy, zaczynałem się nudzić, pić mi się chciało przeokropnie, chociaż Tom proponował mi wodę z takiej miseczki, której do tej pory nie używałem, więc odmówiłem stanowczo. W końcu mój przyjaciel zarządził postój, z czego wielce się ucieszyłem.

Zajechaliśmy w takie fajowe miejsce w lesie, gdzie pachniało wieloma ludźmi i innymi samochodami, psami i kotami nawet. Leżało tam mnóstwo ciekawych rzeczy, które ktoś zapomniał zabrać — papierki, pudełka z resztkami jedzenia, całkiem jeszcze świeżymi, plastikowe butelki, talerzyki. Raj, mówię wam, jednak Tomowi się nie podobało.

— Ludzie to świnie! — oznajmił gniewnym głosem. Rozejrzałem się w poszukiwaniu tych świń, ale żadnej nie zobaczyłem. Na wszelki wypadek szczerkałem bardzo groźnie, żeby żadna świnia do nas nie podeszła.

— Niczego nie wolno brać w zęby! — Tom popatrzył na mnie z powagą. — To wszystko śmiecie, które trzeba posprzątać, żeby leśne zwierzęta się tym nie struły. Ty siedzisz, ja zbieram!

Chciałem mu pomagać, ale tylko pogroził mi palcem, kiedy schyliłem się po plastikowy talerzyk, pachnący kiełbaską z grilla. Usiadłem tedy posłusznie na ogonie

i ze zgrozą patrzyłem, jak mój Tom zbierał te cudowności i wszystkie wyrzucał do kosza. Tyle zmarnowanego dobra!

Kiedy już wszystko zniknęło, Tom wyciągnął z bagażnika dużą butelkę wody, napełnił moją normalną, domową miseczkę po same brzegi, a potem sam, balansując butelką jak prestidigitator, umył ręce i dopiero nalał wody także sobie. Zdziwiłem się, bo nie pił ze swojego zwykłego wielkiego kubka z uchem, a z takiego małego, śmiesznego kubeczka, który wcale do niego nie pasował. Zastanawiałem się, czy to dobry pomysł, te całe wakacje, kiedy trzeba zbierać i wyrzucać zupełnie dobre jedzenie, uważać na świnie i pić z nieswoich naczyń. Łóżka też nigdzie nie było. Na szczęście to nie były jeszcze nasze wakacje i po krótkim spacerze po lesie wsiedliśmy do samochodu, by ruszyć w dalszą drogę.

W końcu dojechaliśmy na miejsce, z czego bardzo się ucieszyłem, zdrętwiały mi już łapki od tego siedzenia bez ruchu, nudziłem się, kręciłem i wdychałem tak głośno, że mój Tom sam w końcu zaczął wzdychać razem ze mną. Nim pozwolił mi od razu wyjść z samochodu, przypiął mi smycz, mówiąc, że to nowe miejsce i tak trzeba, ale nie przekonał mnie tym ani trochę, chciałem biegać i wszystko zobaczyć, najlepiej od razu.

— Poczekaj, urwipołciu, daj mi dziesięć minut i idziemy nad morze! — śmiał się, kiedy z nosem podniesionym wysoko wachałem dziwnie i cudnie pachnące powietrze. — Ciekaw jestem, jak ci się spodoba. Najpierw jednak musimy zanieść bagaże do naszego domku!

Rozejrzałem się dookoła, ale nigdzie nie widziałem naszego domku, chociaż domków w ogóle było tu sporo, to żaden nie był nasz. Poszliśmy najpierw do jednego z nich, gdzie miła pani dała Tomowi klucze, a potem zaprowadziła nas do kolejnego z tych domków, stojącego trochę na uboczu i ocienionego przez wielką sosnę, którą koniecznie musiałem obwąchać i oznaczyć. Weszliśmy

do środka, gdzie pachniało innymi psami i jakimś płynem do sprzątanania tak mocno, że zacząłem kichać. Wewnątrz nie było wcale dużo miejsca, ale łóżko stało, nie groziło mi zatem spanie na ziemi. Tom postawił na tym łóżku swoją torbę, po czym usiadł na nim, a ja od razu ulokowałem się obok niego. Mądry ten mój Tom, trzeba zawsze najpierw sprawdzić, czy wyrko wygodne!

Tom przebrał się, założył takie śmieszne buty, które widziałem po raz pierwszy i wyszliśmy na zewnątrz.

— Idziemy na plażę! — powiedział, a ja ucieszyłem się, bo plaża była bardzo miłym miejscem. Chodziliśmy na plażę często, zazwyczaj rano, kiedy jeszcze wszyscy siedzieli w domach i Tom pozwalał mi tam biegać po piasku i włączyć do jeziora, chociaż zawsze potem narzekał, że śmierdziałem mułem. Ta plaża była jednak całkiem inna, a jezioro — ogromne! Nie widziałem drugiego brzegu wcale, a woda ruszała się sama i szumiała. Nad jej taflą latały głośno krzyżąc białe ptaki, których też wcześniej nigdy nie spotkałem, było także trochę ludzi i dwa psy, które nic sobie z tej ruszającej się wody nie robiły, wbiegały do niej i wybiegały roześmiane. Stwierdziłem, że też spróbuję i dobiegłem do samego brzegu. Fala obmyła mi łapki, a kiedy chciałem się napić, okazało się, że woda była obrzydliwa.

— Nie pij morskiej wody Meloman! Brzuch cię rozboli! — zawołał do mnie Tom, ale ja znowu spróbowałem ruszającej się wody i znów z obrzydzeniem przekonałem się, że jest niesmaczna. Za to piasek był super! Dużo, bardzo dużo piasku! Biegałem, robiłem fikołki, aż miałem ten piasek wszędzie, nawet w nosie, co wywołało u mnie kolejny wakacyjny atak kichania. Tom znowu się roześmiał, a potem zawołał mnie i przytulił mocno, wcale się nie przejmując, że teraz on też był cały zapiaszczony. Jakże ja go kochałem, wiecie?!

A później poszliśmy w najwspanialsze miejsce na świecie, gdzie pachniało frytkami i rybą, i jeszcze wieloma in-

nymi pysznościami! Bardzo sympatyczny pan dał mi całą miseczkę tej rybki, a mój Tom dorzucił także kilka frytek, mówiąc, że to na dobre rozpoczęcie urlopu. Najadłem się do syta!

Kiedy wróciliśmy do naszego nowego domku byłem bardzo zmęczony i chciałem od razu zapakować się do łózka, ale Tom stwierdził, że w mojej sierści było tyle piachu, że można było zrobić z niego kilka piaskowych babek, albo cały zamek, złapał mnie i porządnie wycesał. Dopiero potem pozwolił mi się wreszcie położyć.

Wakacje okazały się być niesamowitą przygodą. Codziennie spacerowaliśmy brzegiem morza, a ja nie próbowałem już pić słonej, morskiej wody, zresztą mój kochany przyjaciel zawsze zabierał na spacer butelkę z wodą i miseczkę dla mnie. Spacerowaliśmy po lesie, który był całkiem inny od tego naszego lasu koło domu, drzewa rosły tu rzadko i nie można było biegać bez smyczy, ale specjalnie się nie przejmowałem, wiedziałem, że po takiej przechadzce Tom będzie bawił się ze mną dłużej. Czasem chodziliśmy w to miejsce, gdzie dostałem pierwszego dnia pobytu pyszną rybę, a czasami Tom kupował coś dla siebie i jedliśmy w domu — ja swoją karmę, a on to, co akurat sobie przyniósł.

Któregoś dnia rano kiedy biegłem przed Tomem brzegiem morza poczułem znajomy zapach. Tej woni nie zapomniałem, mimo upływu czasu i kocham ją do dziś. To był zapach mojej dobrej wróżki, cioci, która kiedyś wyjęła z rury zabłoconego szczeniaka ze złamaną łapą i raną na grzbiecie, prawdopodobnie ratując mu życie.

Podniosłem głowę do góry, rozglądając się oraz węsząc i daleko, daleko przed sobą zobaczyłam biegnące brzegiem morza trzy psy i idącą za nimi kobietę. To była ona! Ruszyłem biegiem w jej kierunku, nie zwracając uwagi na to, że Tom wołał mnie głośno i gwizdał. Musiałem, po prostu musiałem się przywitać!

Wpadłem między tamte pieski jak rozpędzona, pucho-  
wa, beżowa kula i rzuciłem się do nóg mojej cioci. I wy-  
obraźcie sobie, ciocia mnie poznała! Może nie od razu,  
bo była bardzo zdziwiona i trochę zaniepokojona moim  
zachowaniem, ale poznała, bo uklękła na piasku i zaczęła  
głaskać moje futerko, gdy ja z zapałem usiłowałem wylizać  
jej całą twarz.

— To ty, Meloman, to naprawdę ty?! — pytała.

Oczywiście, że ja! Któż inny mógłby być takim ślicz-  
nym pieskiem?

Tymczasem Tom podszedł do nas, zawstydzony moim  
zachowaniem, zaczął przeproszać, co tam mówił, że nor-  
malnie to ja jestem grzeczny i karny i, że zupełnie oszala-  
łem, chyba od słońca.

— Niech pan nie przeprasza, my się z Melomanem  
znamy od dawna! — odpowiedziała moja ciocia i wycią-  
gnęła rękę do Toma. — Nazywam się Klara, to ja kiedyś  
znalazłam go ledwie żywego i ulokowałam w domu tym-  
czasowym. Dawno pan go adoptował?

— Już prawie rok jesteśmy razem — odparł mój  
Tom. — To wspaniały pies, powinienem być pani  
wdzięczny za to, co pani dla niego zrobiła. Opowiadano  
mi jego historię, ale słyszeć, a zobaczyć na własne oczy  
osobę, dzięki której zyskało się takiego przyjaciela, to na-  
prawdę coś!

— Cieszę się, że trafił na pana. U mnie niestety, jak pan  
sam widzi, pełna chata, nie mogłam go zabrać, chociaż  
często tego żalowałam.

— Może przejdziemy się razem i opowie mi pani o Me-  
lomanie? — zapytał Tom nieśmiało.

— Oczywiście, chętnie. Jeśli tylko zdradzi mi pan jedną  
rzecz.

— Jeśli tylko będę mógł...

— Ma pan jakieś imię, prawda?

I tak się jakoś stało, że codziennie spacerowaliśmy razem, mój kochany Tom, moja kochana dobra wróżka i jej trzy psie córeczki, a także ja — najszczęśliwszy pies pod słońcem. Klara i Tom rozmawiali, najczęściej o nas, ale czasami chyba o czymś innym, mieli wtedy poważne miny. My, to znaczy ja, a także Larcia, Pińcia i Księżniczka — suczki Klary, biegaliśmy i bawiliśmy się. Larcia była starszą sunią, która jednak chętnie się z nami bawiła, chociaż nie mogła już długo i szybko biegać, Pińcia była mniejsza ode mnie i trochę się mnie na początku bała, ale później zaprzyjaźniliśmy się i urządzaliśmy gonitwy brzegiem morza. Księżniczka była najmniejsza z nas wszystkich, nie bawiła się z nikim i najchętniej szła tuż przy swojej opiekunce. Na mnie patrzyła spode łba i mówiła, że jestem nieokrzesany, cokolwiek to znaczyło.

Mój Tom chyba bardzo polubił te wspólne spacerunki i rozmowy z Klarą, przestał być smutny, często uśmiechał się do siebie, a kiedyś wieczorem, kiedy już leżeliśmy obok siebie w naszym łóżku, przytulił mnie mocno i pocałował prosto w mokry nos.

— Meloman, chyba kupię ci pół tony tej ryby, którą tak lubisz — powiedział. — Zasługujesz, chłopie! To wszystko dzięki tobie!

Nie wiedziałem co takiego niby zrobiłem, lecz pół tony ryby brzmiało doskonale. Tom nigdy nie kłamał i następnego dnia rzeczywiście poszliśmy do tego pana od rybki i frytek, i dostałem największą porcję pysznego jedzenia, jaką kiedykolwiek widziałem! Zjadłem wszystko, chociaż, możecie mi wierzyć lub nie, pod koniec myślałem, że rozpuknę się jak balonik. Tak się najadłem, że później nie chciałem nawet kolacji.

Wszystko co dobre, kiedyś dobiega końca, jak się okazało, wakacje też. Nadszedł dzień, w którym musieliśmy wracać do domu. Tom i ja poszliśmy z samego rana do naszej Klary, żeby się pożegnać. Myślałem, że Tom znowu

będzie smutny, ale nie, uśmiechał się promiennie całą drogę, chociaż przecież my wyjeżdżaliśmy, a moja, a w zasadzie nasza wspólna dobra wróżka i jej pieski zostawały na miejscu. Nic z tego nie rozumiałem, lecz w drodze powrotnej Tom pogłaskał mnie czule i powiedział:

— Nie martw się Meloman, Klara nas odwiedzi, obiecała. Mieszka niedaleko. Przyjedzie do nas za parę dni. A jak wszystko pójdzie dobrze, będzie przyjeżdżała często. Musimy obaj bardzo się o to postarać!

## Rozdział 4

Cieszyłem się, kiedy wróciliśmy do domu, chociaż zarazem tęskniłem za morzem, pyszną rybką, plażą i zabawami z Larcią i Pińcią. No i za Klarą, za nią tęskniłem najmocniej! Tom chyba też, bo znowu czasami robił się smutny i musiałem brać w zęby kapeć czy zabawkę, i biegać po całym domu, żeby go rozbawić. Najczęściej wieczorami Tom dzwonił do naszej dobrej wróżki, siadał wtedy ze mną u boku i długo rozmawiali, a on głaskał mnie wówczas delikatnie, aż zamykałem oczy i zasypiałem zadowolony.

Tom znowu dużo pracował, musiałem mu więc przypominać, że pies wymaga, żeby się nim zajmować, a nie tylko stukać w ten głupi komputer od rana do nocy. I w końcu przyszedł ten dzień, na który obaj czekaliśmy — Klara miała do nas przyjechać w odwiedziny ze swoimi pieskami. Tom od samego rana sprzątał jak szalony, wycierał wszystkie meble, mył podłogę, grabił trawnik w ogródku, w końcu rzucił wszystko i znikł w łazience. Wyszedł stamtąd w czystym ubraniu, pachnący czymś, co mi się wcale nie podobało. Był bardzo przejęty.

— Meloman, ona zaraz tu będzie! — powiedział, a ja widziałem, jaki był zdenerwowany, chociaż przecież nasza dobra wróżka była taka kochana, więc nie rozumiałem, czym się tak przejmował. — Jak wyglądam?

— Jak dla mnie bomba! — odpowiedziałem, merdając ogonkiem i podskakując, żeby na pewno zrozumiał.

Przed naszą furtką z hałasem i parsaniem zatrzymał się mały, żółty samochód i wysiadła z niego ciocia i jej

trzy psie córeczki. Od razu poznałem, że i ona jest przejęta i zdenerwowana, i też nie mogłem zrozumieć, dlaczego. Tom podbiegł do furtki, otworzył ją, Pińcia, Larcia i Księżniczka wkroczyły do naszego ogródka, ale ciocia stała jak zakłeta, podobnie jak mój opiekun. Patrzyli na siebie, nic nie mówili, w końcu wyciągnęli do siebie ręce i objęli się mocno. Wiedziałem, że już teraz wszystko będzie dobrze, że ci, których kochałem najbardziej na świecie odnaleźli siebie nawzajem. I wiedziałem też, dzięki komu tak było!

Nasze życie bardzo się zmieniło. Klara przyjeżdżała co parę dni, a ja nie mogłem się doczekać tych wizyt. Tom zresztą też ich wyczekiwał, a kiedy zbliżał się dzień jej odwiedzin, był bardzo szczęśliwy. Chodziliśmy wspólnie na długie spacerunki, a gdy nastawała jesień i dni zrobiły się krótkie, siadywaliśmy wszyscy u Toma w salonie przy kominku, w którym wesoło trzaskały płonące drwa. My, psy, kładliśmy się obok siebie na dywaniku i spod zmrużonych powiek patrzyliśmy, jak ci, na których najbardziej nam zależało trzymają się za ręce i uśmiechają do siebie. Miłość, która połączyła te dwa dobre, wielkie serca była najpiękniejszym, co mogło im się przydarzyć. I co mogło przydarzyć się nam!

Bardzo się zmartwiłem, kiedy któregoś wiosennego dnia Klara nie przyjechała, chociaż wszystko wskazywało na to, że Tom się jej spodziewał. Mój opiekun długo czekał na nią, spacerując nerwowo po ogrodzie, potem wziął telefon i zaczął dzwonić raz za razem, lecz bez rezultatu. Kiedy w końcu ktoś z drugiej strony odebrał, mój przyjaciel wyraźnie pobladł i silnie się zasmucił. W końcu kazał mi wrócić do domu i być grzecznym, a sam wyprowadził samochód z garażu i gdzieś pojechał. Bardzo długo nie wracał, tak długo, że, co muszę ze wstydem przyznać, nasiusiłem w kącie sypialni, za doniczką z kwiatkiem, żeby

nie było widać. Byłem głodny i wypłem całą wodę z mojej miski, na szczęście Tom nie zamknął łazienki, więc mogłem pić z sedesu, czego normalnie nie było mi wolno robić. Ale teraz nic nie było normalnie, Tom znikł, a ja zaczynałem się martwić. O niego i o naszą dobrą wróżkę też.

Po wielu godzinach samotności usłyszałem wreszcie znajomy dźwięk i podbiegłem do okna. Tom zaparkował samochód pod domem i właśnie wysiadał z niego, trzymając na rękach Księżniczkę, Larcia i Pińcia wyskoczyły w ślad za nim, jednak nigdzie nie widziałem Klasy. Kiedy Tom otworzył drzwi podbiegłem do niego, oparłem mu łapki na udach i spojrzałem z uwagą w jego twarz. Był zmartwiony, a w jego oczach krył się ogromny niepokój.

— Och Melomanku... — powiedział smutnym głosem, stawiając księżniczkę na podłodze w przedpokoju. — Nasza Klara miała wypadek. Nie wiem, co z nią będzie, nikt nie wie.

I mój dzielny, duży i silny Tom usiadł tam gdzie stał, łzy popłynęły mu po twarzy, a ja nie potrafiłem go pocieszyć. Położyłem się przy nim, nie bacząc na to, że niedawno jeszcze marzyłem tylko o wyjściu na dwór, a także na to, że z głodu bolał mnie brzusek. Oparłem pyszczek na jego kolanie, tym samym, które go czasem bolało i trwaliśmy tak, jeden przy drugim, wspierając się nawzajem. W końcu Tom wstał, zaprowadził smutne suczki Klary do salonu, a mnie wypuścił wreszcie do ogródka. Nie zabawiłem tam jednak długo, wiedziałem, że muszę być przy moim przyjacielu, bo byłem mu teraz bardzo potrzebny.

Moje życie bardzo się od tej pory zmieniło. Skończyły się długie, wspólne spacerunki, przesiadywanie na sofie w salonie i radosne zabawy. Tom zniknął na całe dni, zostawiając mnie i moje psie koleżanki samych w domu. Na szczęście dni były ciepłe, więc mój przyjaciel pozosta-

wiał nam otwarte drzwi na taras, żebyśmy mogli korzystać z ogrodu. Co z tego, kiedy jego w nim nie było...

Wiedziałem jednak, że kiedy wyjeżdżał tak z samego rana, nie robił tego dla przyjemności, a dlatego, że musiał, bo Klara go potrzebowała. Niewiele o niej mówił, a kiedy czasem coś nam opowiadał, głos mu się łamał tak, że nie mógł skończyć. Chociaż pocieszałem go na wszystkie psie sposoby, nie potrafiłem mu pomóc, więc tylko kładłem się najbliżej mojego Toma, żeby wiedział, że nie został sam ze swymi zmartwieniami. Zawsze mógł na mnie liczyć, tak jak ja na niego.

Larcia, Pińcia i Księżniczka również cierpiały i tęskniły. Długo nie potrafiły się odnaleźć, brak im było ich ukochanej opiekunki, płakały często, szczególnie wtedy, kiedy Toma nie było. Najgorzej cierpiała Księżniczka i chociaż wcześniej nie bardzo ją lubiłem, teraz zaprzyjaźniliśmy się, połączyło nas wspólne nieszczęście. Kiedy płakała, lizałem delikatnie jej malutką główkę, aż uspokajała się i tuliła swoje rozdygotane ciało do mojego boku. Czasami zasypiała wtulona w moją sierść jak w miękką poduszkę, a ja starałem się nie poruszać, żeby jej nie zbudzić.

Larcia i Pińcia przesiadywały pod furtką, jakby myślały, że Klara zaraz po nie wróci. Nie szczekały na przechodniów i na inne psy, po prostu czekały. Gdy wracał Tom, witały go i zaraz znowu wracały na swój posterunek. Pewnie trwałyby na nim także w nocy, gdyby nie to, że Tom chodził po nie i zabierał je do domu. Nie chciały z nami spać, kładły się jedna przy drugiej w pobliżu drzwi na taras. Nie potrafiły zrozumieć, czemu Klara nie wracała.

W końcu jednak wróciła. Któregoś dnia Tom jak zwykle wyjechał z samego rana, zostawiając cały dom na mojej głowie, tym razem jednak wrócił już wczesnym popołudniem. Kiedy zaparkował pod domem, podbiegłem do kuchennego okna i patrzyłem, jak wysiadał z samochodu. A potem otworzył tylne drzwi i pomógł wysiąść jeszcze ko-

muś. Przez chwilę jej nie poznałem, ale to była moja dobra wróżka, chociaż dużo szczuplejsza, niż zapamiętałem. Zacząłem biegać po całym domu i szczekać z radości, później popędziłem do ogrodu, żeby zawołać Pińcię i Larcie, ale one już wiedziały i pędziły środkiem trawnika, by jak najszybciej powitać swoją opiekunkę. Malutka Księżniczka znowu zaczęła płakać tym razem z radości, a ja skakałem do góry jak piłeczka, zapominając o mojej niezupełnie sprawnej tylnej łapce.

Kiedy drzwi się otworzyły, wyskoczyliśmy jedno przez drugie na schody, ale Tom poważnym głosem kazał nam się uspokoić i przestać skakać na Klarę i na niego. W jego spojrzeniu było coś takiego, że wszyscy natychmiast posłuchaliśmy. Tom pomógł Klarze wejść po schodach i zaprowadził ją do salonu, podtrzymując przez cały czas, a my powolutku dreptaliśmy za nimi. Trzymałem się z tyłu, wiedziałem, że moim psim siostróm należało się pierwszeństwo. Klara usiadła w ulubionym fotelu Toma, a Księżniczka wskoczyła jej natychmiast na kolana. Larcia i Pińcia przypadły do nóg swojej przyjaciółki, ja jednak stałem niezdecydowany, bojąc się podejść. Moja dobra wróżka wydawała mi się bardzo krucha i słaba. Ona jednak wyciągnęła do mnie ręce i powiedziała:

— Melomanku, nie przywitasz się ze mną? Nie poznajesz mnie, piesku?

Od razu podbiegłem, ale nie wskoczyłem na fotel obok niej, ani nawet nie oparłem się o jej kolana, tylko przytuliłem główkę do wyciągniętej dłoni. Klara podrapała mnie za uszami, pod brodą, czyli tam, gdzie lubiłem najbardziej, po czym zwróciła się do Toma:

— Tom, twój pies to jeden wielki kołtun! Zapomniałeś gdzieś szczotkę?

— Jakoś nie miałem głowy do dbania o jego urodę. O swoją zresztą też nie... — odpowiedział speszony.

— Właśnie widzę. Masz taką długą brodę, że jeszcze trochę, a ludzie pomylą cię ze świętym Mikołajem — zażartowała Klara.

Rzeczywiście, broda Toma przypominała bardziej kępę potarganej trawy niż to, co wcześniej zdobiło jego twarz. Dopiero teraz dostrzegłem, że pojawiło się w niej dużo siwych pasm, podobnie jak we włosach mojego przyjaciela. Mnie to zupełnie nie przeszkadzało, siwy czy nie, dla mnie i tak był najpiękniejszy na świecie! Klarze chyba też nie, bo po chwili wplotła palce w tę jego potarganą brodę i roześmiała się radośnie, tak jak śmiała się kiedyś, przed wypadkiem. Tom też się roześmiał, a ja zacząłem biegać i szczekać, skakać z radości najwyżej, jak tylko potrafiłem. Mój Tom znów był wesoły i to było najważniejsze!

— Zostawię cię na kilka minut pod opieką Melomana, muszę pojechać po jakieś zakupy. W domu jest tylko psia karma — powiedział Tom. — Tylko sama nie wstawaj, poczekaj, aż wrócę! A ty Meloman — zwrócił się do mnie. — Pilnuj jej jak oka w głowie! Jak miski mięsa, jak piłki w trawie! Tylko nie włącz Klarze na kolana, jeszcze na to za wcześniej!

Popatrzyłem mu w oczy z najmądrzejszą i najbardziej odpowiedzialną miną, na jaką było mnie stać, żeby go uspokoić i zapewnić, że wszystko zrozumiałem, po czym położyłem się tuż obok nóg Klary. Jak miałem pilnować to zamierzałem robić to należycie!

Kiedy zostaliśmy sami Klara zawołała także Larcie i Pińcie do siebie. Jedno przez drugie tuliliśmy się do jej nóg, lecz bez przepychanek i awantur. Wiedzieliśmy, że naszej dobrej wróżce potrzebna była teraz delikatność. Gdy jej smukłe palce pieściły moją sierść to było tak, jakby promienie słońca ją przeczesały, albo muskał mnie delikatnie wiosenny, ciepły wiatr. Wyczuwałem jednak, że w Klarze było mnóstwo smutku, a kiedy uniosłem spojrzenie spostrzegłem, że jej oczy wypełniały łzy.

— Zobacz, jak ja wyglądam, Melomanku... — powiedziała cichutko i rozpląkała się na dobre. — Nie wiem, jak Tom może na mnie patrzeć...

Dla mnie wyglądała pięknie, jak zwykle, ale my psy patrzymy na tych, których kochamy inaczej. Niepotrzebne nam do tego oczy, my spoglądamy poprzez miłość. Chciałem jej to wszystko powiedzieć, wyznać, że jest najlepszą i najpiękniejszą istotą na ziemi, lecz nie potrafiłem.

Klara dotknęła swojej twarzy i wtedy dopiero to zobaczyłem — brzydką, pofałdowaną bliznę na jej policzku, której kraniec ginął aż we włosach na skroni. Oparłem się łapkami o jej kolana i delikatnie polizałem ją po twarzy, żeby wiedziała, że mnie zupełnie to nie przeszkadzało. Klara przytuliła się do mojej główki i rozpląkała się na dobre.

Tom wrócił niebawem ze sklepu, obładowany zakupami, a my wciąż trwaliśmy tak wtuleni. Klara zdążyła nieco się uspokoić, ale na jej twarzy ciągle widać było ślady łez.

— Co się stało, kochana? — zapytał Tom od progu. Rzucił siatki z jedzeniem na podłogę i szybko podszedł do niej. Przyklęknął tuż przed nią, odsuwając mnie, pochwycił jej dłonie w swoje duże, silne ręce. — Czy coś cię boli? Jak mogę ci pomóc?

— Och Tom, nic mnie nie boli, przynajmniej nie bardziej, niż wcześniej — odpowiedziała. — Tylko wyglądam jak potwór Frankensteina.

— Co ty mówisz, dziewczyno! — oburzył się mój przyjaciel. — Wiesz, że to nieprawda!

— Tom, nie oszukuj mnie, przecież widziałam. I dostrzegłam spojrzenia ludzi, kiedy szliśmy do samochodu, pełne litości, ale także obrzydzenia. Boję się, że i w twoich oczach dojrzę wstręt...

Tom uniósł dłoń, dotknął policzka Klasy, przesunął palcami po szpecącej go bliznie, a potem bardzo poważnym głosem powiedział:

— Spójrz na mnie! Czy widzisz cokolwiek w moich oczach, co byłoby chociaż jego cieniem? Nie! Kocham cię i nic tego nie zmieni! Wiesz, jestem trochę jak te nasze psiaki — ja też patrzę sercem.

Dni płynęły, a my cieszyliśmy się tym, że znowu jesteśmy wszyscy razem. Co prawda nasi opiekunowie często gdzieś wychodzili zostawiając nas samych, czasem do naszego domu przychodziła pani, na którą Tom mówił rehabilitantka, by ćwiczyć z naszą dobrą wróżką. Na początku bardzo się denerwowałem, kiedy tylko zbliżała się do Klary, bo to, co kazała jej robić często sprawiało, że moja dobra wróżka płakała z bólu, jednak później pojąłem, że w ten sposób jej pomagała, zupełnie tak jak mnie kiedyś pomagano. Klara nabierała sił, miała lepszy humor i częściej się śmiała. Siadywała z nami na tarasie pod wielkim parasolem, który Tom dla niej postawił, czytała albo po prostu siedziała, spoglądając na drzewa i ptaki.

Gdy lato miało się ku końcowi, była już na tyle silna, by wychodzić z nami i Tomem na spacer, a nawet rzucać nam piłki i patyki. Lecz gdy zostawaliśmy sami, a Tom jechał do miejsca, na które mówił praca, Klara czasami zamykała się w łazience, a wówczas słyszałem, jak płakała. Któregoś dnia, gdy tkwiłem pod drzwiami i czekałem aż wreszcie stamtąd wyjdzie, bardzo się przestraszyłem, bo z zamkniętej łazienki dobiegł mnie nagle głośny krzyk Klary, a po chwili brzęk tłuczonego szkła. Zacząłem skakać i drapać drzwi pazurkami, chociaż wiedziałam doskonale, że było to absolutnie zakazane. Ponieważ nic nie wskórałem, postanowiłem głośno szczekać. Zaniepokojone suczki Klary przybiegły natychmiast i również rozszczękały się z całych sił, a malutka Księżniczka wyła żałośnie cieniutkim głosikiem. Robiliśmy niezły harmider, ale było to bardzo skuteczne działanie, bo nasza dobra wróżka w końcu wyszła do nas, cała i zdrowa.

— Nie wchodźcie tam, pokaleczycie się — powiedziała. — Tom mnie zabije, rozbiłam jego lustro... — westchnęła z rezygnacją.

Po powrocie do domu mój przyjaciel nawet się nie zde nerwował, tylko przytulił mocno Klarę, a później poszedł pozbierać potłuczone kawałki szkła. Dopiero wieczorem, kiedy siedzieliśmy wszyscy na wielkiej sofie w salonie, a w kącie cicho brzęczał telewizor, na który nikt nie zwracał uwagi, Tom ujął twarz Klary w obie ręce i rzekł spokojnym, ale poważnym tonem:

— Tak być nie może, ty cierpisz, a kiedy tak się dzieje, cierpimy wszyscy — ja i psiaki też. Pojedziemy do tej kliniki, którą nam polecono.

— Ale skąd weźmiemy pieniądze na operację? — odpowiedziała. — Nie Tom, poczekajmy, aż będę mogła zoperować twarz normalnie, w szpitalu.

— Sama wiesz, że to potrwa całe miesiące — odparł. — Tymczasem ty jesteś nieszczęśliwa teraz. A o pieniądze się nie martw, dam radę!

— A co z nimi? Co zrobimy z tą naszą psiarnią? Przecież nie będzie nas co najmniej kilka dni... Nie możemy ich tu zostawić samych, zabrać ze sobą też nie. Pomyślałem o tym?

— Popytam wśród znajomych, a jak nikt nie podejmie się opieki nad całą sforą, znajdę im dobry hotel. Wytrzymają, to dzielne psy!

Jak się pewnie domyślicie, zadanie umieszczenia nas wszystkich nawet na kilka dni u kogokolwiek z koleżanek i kolegów naszych opiekunów nie było wcale proste, a wszystkie hotele dla psiaków, w których byliby oni skłonni nas zostawić również nie dysponowały taką ilością miejsc, żebyśmy wszyscy mogli być razem. I tak się w końcu stało, że musieliśmy zostać rozdzieleni. Co prawda Tom i Klara stawali na głowie, żeby temu zaradzić, jednakże bezskutecznie. Larcia i Pińcia miała zaopiekować się kole-

żanka Klary, Księżniczką nasza sąsiadka — pani Zofia, która mieszkała kilka domów dalej i sama miała pod opieką małą suczkę, niewiele większą od naszej kruszynki. Ja natomiast miałem pojechać daleko, do kolegi mojego Toma, który mieszkał w domu, położonym na skraju lasu i kochał psy.

— Będzie dobrze — uspokajał mnie mój przyjaciel, głaszcząc i drapiąc za uszkami. — Grzegorz to wspaniały facet. Dawnośmy się co prawda nie widzieli, ale wiem, że krzywda ci się u niego nie stanie. Będzie się z tobą bawił, zabierze cię na spacer. Melomanku, lepiej trafić nie mogłeś!

— Owszem, mógłbym jechać z wami! — chciałem odpowiedzieć, ale tylko zamerdałem z rezygnacją ogonem. — Siedziałbym cicho, nie czekał, nikt nie wiedziałby, że jestem. Głupie zasady panują tam, gdzie jedziecie i tyle!

I nastał w końcu ten dzień, kiedy moi kochani opiekunowie zawieźli nas do ludzi, u których mieliśmy na nich czekać. Ja jechałem najdalej, zatem cieszyłem się z możliwości długiej jazdy samochodem, z towarzystwa mojego kochanego Toma i naszej wspólnej dobrej wróżki tyle, na ile mogłem. Niepokój nie chciał mnie jednak opuścić, nie wiedziałem dlaczego, lecz bałem się tej rozłąki. Pewnie powiecie, że to instynkt. Może i tak, ja jednak sądzę, że to była intuicja, która podpowiadała mi, że moje rozstanie z najukochańszymi ludźmi na świecie będzie długie i niezbyt przyjemne...

## Rozdział 5

Do domu Grzegorza dotarliśmy już po zmierzchu. Obejście, na tyle, na ile udało mi się dostrzec w ciemnościach, nawet mi się podobało, chociaż nadal uważałem, że najlepszym rozwiązaniem byłoby pozostanie z Tomem. Sam Grzegorz był duży, głośny, gruby, miał brodę, jak Tom, tylko znacznie dłuższą i burzę włosów, które opadały mu na oczy. Powąchałem go ostrożnie, a on pochylił się o wzięł mnie na ręce. Przestraszyłem się — nie lubiłem, gdy obcy tak mnie podnosili, na to pozwalałem tylko Tomowi, jednak Grzegorz pocałował mnie z rozmachem w sam nos i powiedział, że jestem grzecznym i ładnym pieskiem. Pachniał dziwnie, trochę mi się ten jego zapach nie podobał, ale postanowiłem dać temu człowiekowi szansę. W końcu skoro był przyjacielem mojego Toma, musiał być równie dobry jak on, prawda?

Okazało się, że w domu Grzegorza nie będę jedynym psem. Mieszkał z nim bowiem ogromny, kudłaty i wiekowy Baron, który na mój widok podniósł się z trudem, by mnie powitać.

— Hej młody, słyszałem, że cię do nas przywiozą, ale myślałem, żeś okazałszy! — odezwał się na przywitanie.

— Nazywam się Meloman i jestem bardzo okazały! — odpowiedziałem oburzony.

— Jesteś konus, ale mnie to nie przeszkadza, nie obrażaj się zaraz! — zaśmiał się Baron i trącił mnie nosem. — Za to tego futra masz tyle, że starczyłoby na dwa psy i kota! Uszy do góry, młody, będzie ci u nas dobrze! Grzegorz to całkiem fajny chłop!

Popatrzyłem na mojego Toma, który z kolei bacznie przyglądał się Grzegorzowi i w jego spojrzeniu dojrzałem cień niepokoju. W końcu jednak Tom rozpogodził się i razem z gospodarzem, trzymając Klarę za rękę, wszedł do ogromnej, mrocznej kuchni, gdzie pachniało smakiem, a w kącie stało już przygotowane dla mnie legowisko.

— Przepraszam za mój stan, stary! — zawołałam głośno Grzegorz i roześmiał się, opadając ciężko na krzesło — Siadajcie, zróbcie sobie herbaty, tam jest! — wskazał ręką mniej więcej w kierunku dużego kredensu. — Miałem dziś nasiadówkę z leśnikiem, a sam wiesz, że on za kołnierz nie wylewa! Nie mogłem się wykręcić!

— W porządku — odpowiedział Tom a Klara uśmiechnęła się z wahaniem do Grzegorza. — Prosiłbym tylko, żebyś na czas opieki nad moim psem nie miewał takich nasiadówek, dobrze?

— Mówię, że przepraszam, to incydentalne! — burknął Grzegorz a potem oparł głowę na złożonych ramionach. Po chwili dobiegło nas jego chrapanie.

— Myślisz, że to dobry pomysł zostawiać mu Melomana? — zapytała półgłosem Klara, przyglądając się śpiącemu z rezerwą.

— Znam go pół życia, to dobry facet — odpowiedział Tom, jednak też był poddenerwowany.

— Może i dobry, ale nawalony jak stodoła! Skąd wiesz, że nie pije nagminnie? A co, jeśli zapomni nakarmić Melomana, albo pójdzie gdzieś i zostawi go tu zamkniętego bez opieki?

— Spójrz na Barona, ma się całkiem dobrze. To najlepszy dowód na to, że można powierzyć mu opiekę nad naszym psem. Zresztą, Klarcu, już za późno, żeby teraz szukać Melomanowi innego miejsca na te kilka dni.

— To nie jedźmy, zrezygnujmy... Poczekam, dam radę...

— Nie! Nie ma takiej opcji! Meloman to mądry pies, nie da sobie zrobić krzywdy, a o jedzenie, jak sama wiesz,

dopomina się całkiem sprawnie! Twoje szczęście jest teraz najważniejsze, a gdyby Meloman umiał mówić, powiedziałby ci to samo! Lepiej zrób nam tej herbaty, a ja zaprowadzę Grześka do łóżka. Jutro z samego rana zadzwonimy do niego i upewnimy się, że wszystko dobrze.

Tom musiał się nieźle natrudzić, by postawić Grzegorza na nogi, lecz w końcu mu się to udało. Trochę go popychając, a trochę ciągnąc, znikł wraz z nim w sąsiednim pomieszczeniu, a w ślad za nimi powłókł się Baron. Ja natomiast pomagałem Klarze robić herbatę. Miałem też nadzieję, że dostanę za tę pomoc coś dobrego i oczywiście się nie zawiodłem. Moja ciocia otworzyła ogromną, starą oraz dość hałaśliwą lodówkę i uraczyła mnie dwoma parówkami.

— Dobrze, że jedzenie chociaż ma, a nie sam alkohol w tej lodówce — mruknęła cicho. — Może rzeczywiście nie ma się czym martwić, widzę tu tylko jedno piwo... Ale wiesz co, Melomanku, nie podoba mi się ten cały Grześ, choćby i był najlepszym kumplem naszego Toma.

Nie lubiłem, kiedy się martwiła, zacząłem więc merdać radośnie ogonkiem, po czym schwyciłem parówki i pobiegłem na przygotowane dla mnie legowisko, żeby wiedziała, że czułem się tu całkiem bezpiecznie. Po prawdzie wcale się tak nie czułem, lecz cóż miałem zrobić, powiedzcie sami? Moja dobra wróżka musiała udać się do tego miejsca, w którym mądrzy lekarze usuną bliznę z jej twarzy. Tom musiał jechać z nią, był jej potrzebny, a ja musiałem zostać. Innego wyjścia nie było.

Nadeszła w końcu chwila, której wszyscy się obawialiśmy. I chociaż najbardziej na świecie pragnąłem wyjść wraz z moim przyjacielem i Klarą, wsiąść do samochodu i wrócić do domu, polizałem tylko ich dłonie i wróciłem na przygotowane dla mnie miejsce.

— Bądź grzeczny, Melomanku — powiedział Tom, pochylając się nade mną i czule pogłaskał moją główkę. —

Zabiorę cię stąd tak szybko, jak to będzie możliwe. Bardzo cię kocham, wiesz? Dasz radę, wierzę w ciebie!

Spojrzałem w jego mądre oczy, przekazując mu całą moją psią miłość. Pragnąłem, żeby wiedział, jak był mi drogi, by moje uczucie strzegło go, niczym talizman. Wyszli razem z Klarą, zamykając stare, dębowe drzwi, a ja zostałem sam w wielkiej obcej kuchni, z hałasującą lodówką w kącie i smakiem parówek na języku. Postanowiłem, że będę dzielny, lecz nie do końca mi się to udało. Płakałem jednak cichutko, by nie zbudzić Barona oraz jego opiekuna.

Rankiem obudziłem się w podłym nastroju, a po słownych parówkach chciało mi się pić, nigdzie jednak nie widziałem miseczki z wodą. Pokręciłem się trochę po pomieszczeniu, obwąchując wszystkie kąty, znalazłem nawet w jednym z nich kawałek trochę zeschniętej, ale całkiem jeszcze dobrej kiełbasy. Ta kuchnia w niczym nie przypominała mojej, była znacznie ciekawsza, przepełniona wieloma zapachami, stały tu także przedmioty, których w naszej kuchni nie było. Ponieważ mój tymczasowy opiekun nadal głośno chrapał za ścianą, wskoczyłem na stół by wyrzeć przez okno, za którym rozciągało się wielkie, trochę zagracone podwórze, a nieco dalej widać było ścianę lasu. Dostrzegłem wiewiórkę, przebiegającą opodal, kilka ptaków, szukających w trawie czegoś do jedzenia. Pierwsze promienie późnojesiennego słońca przebijały się przez chmury sprawiając, że świat wydał mi się znacznie piękniejszy niż jeszcze chwilę wcześniej. Pomyślałem sobie, że może u tego Grzegorza nie będzie mi wcale tak źle, zresztą Tom wróci przecież po mnie, jak obiecał. Trzeba tylko cierpliwie poczekać i nie smuć się niepotrzebnie!

Ledwie zdążyłem zeskoczyć na podłogę, gdy do kuchni wkroczył Baron, a za nim Grzegorz. Baron chyba domyślał się, co robiłem, bo popatrzył na mnie porozumiewaw-

czo i machnął wachlarzem ogona. Grześ jednak niczego nie zauważył. Otworzył lodówkę, wyjął z niej puszkę, którą szybko otworzył i przytknął do ust. Szkoda, że nie pomyślał najpierw, by dać mi wody!

Dopiero po chwili popatrzył w moim kierunku z taką miną, jakby nie bardzo pamiętał, skąd się tu wziąłem, jednakże w końcu pochylił się nade mną i pogłaskał mnie po grzbiecie.

— Myślałem, że to sen, ale widzę, że jesteś jak najbardziej rzeczywisty. Szkoda, że nie możesz mi powiedzieć, jak wielkiego durnia z siebie zrobiłem wczoraj... I za cholere nie pamiętam, jak ty się zwiesz, psie. Chcesz siku?

Pewnie, że chciałem! Grzegorz zawołał Barona i mnie, po czym wypuścił nas na podwórze.

— Tylko nigdzie nie uciekaj, psie! — zawołał za mną. — Trzymaj się blisko domu!

Zbiegłem po trzech krzywych schodach i stanąłem na mokrej od rosy trawie. Powietrze pachniało zupełnie inaczej niż w mieście, jednak wiedziałem, że nie mogę odchodzić daleko, zupełnie nie znałem tej okolicy. Podążając za Baronem udałem się pod pobliskie drzewko, później zaś znalazłem taką wielką i dziwną miskę pełną wody, co mnie niezmiernie ucieszyło. Oparłem się łapkami o jej krawędź i z niejakim trudem ugasiłem wreszcie pragnienie.

— Za wysokie to wiadro dla ciebie, konusie — odezwał się Baron. — Może mój Grześ pomyśli, żeby postawić ci coś innego. Chodź, pójdziemy za dom, tam jest przyjemniej i więcej słońca. Poleżymy sobie!

Z drugiej strony drewnianego domu znajdował się zaniedbany ogród z kilkoma, teraz zarośniętymi zeschniętymi chwastami grządkami, pozbawionymi liści drzewami owocowymi, cały zalany słońcem. Baron położył się ze stęknięciem pod ścianą, ja zaś obwąchiwałem wszystko z uwagą. W końcu sam rozciągnąłem się na wilgotnej, chłodnej i miękkiej ziemi. Leżałem tak wspominając

szczenięce czasy, kiedy mieszkałem u Babci Jasi, razem z Kurzawą, Groszkiem i Mrusią. Ciekaw byłem, jak im się wiodło... Czy żyli, czy też może pobiegli tam, gdzie udała się moja mama, kiedy jej psia dusza postanowiła opuścić jej umęczone ciało? W to specjalne miejsce? Nie wiedziałem, lecz przypuszczałem, że kiedyś się tego dowiem.

Zacząłem drzemać, kiedy Baron uniósł czujnie głowę i powiedział:

— Zaraz będzie spacer. Nasłuchuj, młody!

I rzeczywiście usłyszałem skrzypnięcie drzwi i za chwilę rozległo się melodyjne gwizdnięcie. Baron poderwał się na łapy, czemu jednak towarzyszyło bolesne stęknienie i ruszył całkiem żwawo w tym kierunku, z którego dobiegało, ja zaś podreptałem za nim, zaintrygowany. Jego opiekun stał przed domem, ubrany w grubą kurtkę i czapkę z daszkiem, w ręku trzymał kawałek linki.

— O, jest i moja psiarnia! — zawołał na nasz widok. — Ty, psie — zwrócił się do mnie: — Na pewno Tom zostawił dla ciebie smycz i obrozę, ale jeszcze nie odkryłem, gdzie je położył. Idziesz więc na sznurku, jak koza, żebyś mi nie nawiał, czy coś! Twój Tom dzwonił i pytał o ciebie, wiesz, kundlu? Trafił ci się super facet, możesz mi wierzyć. Szkoda, że nie pomyślałem, żeby zapytać go, jak się u licha, nazywasz...

Grzegorz zawiązał sznurek na mojej szyi, chwycił za drugi koniec, po czym wszyscy trzej powędrowaliśmy przed siebie. Baron szedł przodem, doskonale znając drogę, którą i ja niebawem miałem przemierzyć. Jak się dowiedziałem była to stała trasa Barona i jego opiekuna, wiodąca wprost do niedalekiej wsi i do sklepu.

Szliśmy przez las, a suche liście szeleściły pod moimi łapkami. Grześ maszerował szybko, nie miałem okazji nawet dobrze powęszyć, bo gdy tylko zatrzymywałem się, niecierpliwie ciągnął za przywiązany do mojego karku sznurek. Nie to, co Tom, który zawsze cierpliwie czekał,

kiedy znajdowałem coś, co wymagało gruntownego sprawdzenia. Nigdy mnie nie ponaglał, mówił, że spacer był przede wszystkim dla mnie.

— Trudno — powiedziałem do siebie — Może w powrotnej drodze pozwoli mi wszystko dokładnie obwąchać...

Wieś, do której dotarliśmy okazała się być podobna to tej, w której mieszkałem będąc szczenięciem, z domami, usadowionymi przy głównej ulicy i otoczonymi wysokimi parkanami, ludźmi, ciekawie przyglądającymi się nam zza firanek w oknach, nielicznymi samochodami i wszechobecnymi kurami, które kroczyły po swoich podwórkach, a nawet brzegiem ulicy. Czasem zza parkanów dobiegało nas szczekanie psów, które oznajmiały nam, obcym, że to ich królestwa, których będą bronić do ostatniego tchnienia. Niektóre z tych piesków podbiegały blisko do ogrodzeń i ubliżały nam zajadle, były jednak również takie, które jedynie słyszałem. Nie wiedziałem, czemu nie mogły podejść bliżej...

Sklep okazał się całkiem okazały, większy niż się spodziewałem, z miejscem dla rowerów i daszkiem nad drzwiami. Grzegorz przywiązał sznurek, na którym mnie tu przyprowadził do rynny i kazał czekać. Baron z westchnieniem ulgi położył się tuż przy wejściu.

— I co teraz? Długo on będzie siedział w tym sklepie? — zapytałem starego psa. Nie miałem doświadczenia, mój Tom zabrał mnie po zakupy tylko raz, ale był to taki sklep, do którego wszedłem razem z nim, zresztą wcale mi się tam nie podobało. Zawsze udawał się po sprawunki sam, tłumacząc mi, że pies to nie rower i nie wolno go zostawiać pod marketem bez opieki na nie wiadomo ile czasu.

— To zależy — odpowiedział Baron, zerkając na mnie. — Jeśli będą jego kumple, możemy tu posiedzieć nawet parę godzin. Ja najczęściej wracam sam, jak mi się

znudzi, ale ciebie przywiązano, musisz cierpliwie czekać. I mieć nadzieję, że mój człowiek nie zapomni, że cię tu przywłókł.

— Dlaczego miałby zrobić coś tak głupiego? — zapytałem zdziwiony. — Jak można zapomnieć o przyjacielu?

— Wierz mi, można — westchnął Baron. — Kocham Grześka nad życie i był naprawdę cudowny dla mnie... dawniej. Nie wyobrażasz sobie, ile kilometrów razem przeszliśmy po lesie, ile przygód mieliśmy, tylko my dwaj. Bawił się ze mną, uczył mnie sztuczek, drapał za uchem... A potem coś się zmieniło. Coraz częściej pił, nie pamiętał, żeby dawać mi jeść, czasem nie wpuszczał do domu, nawet kiedy padało. Teraz już się nie bawimy, a jedzenie biorę sobie sam, pod warunkiem, że on nie zapomni go kupić.

— Jak to możliwe, żeby od picia zapominać? — zdziwiłem się i trochę przestraszyłem, przypomniawszy sobie tę ilość wody, którą wlałem w siebie dziś rano.

— On nie pije wody, głuptasie, ani nawet kawy! — prychnął Baron. — To, co każe mu codziennie rano iść do sklepu, niezależnie od pogody i to, przez co zapomina o tych, którym winien jest opiekę, nazywa się a-l-k-o-h-o-l. Tym właśnie śmierdzi każdego dnia. Nienawidzę, kiedy pije, chociaż oddałbym za niego życie, młody. Nawet zaraz! Ale patrz, masz szczęście, już idzie. Będzie dziś pił w domu. Może nawet ma coś dobrego dla nas!

Rzeczywiście Grzegorz wyszedł ze sklepu, dźwigając dużą torbę, w której coś pobrzękiwało. Wydobywał się z niej także smakowity zapach, a ja zdałem sobie sprawę, że byłem głodny jak wilk!

— Wracamy, chłopaki! — zawołał do nas opiekun Barona i, ku mojemu zdziwieniu, zdjął mi sznurek z szyi. — Ty pies, nie jesteś głupi, będziesz się pilnował. Mnie są potrzebne obydwie ręce. A to na śniadanie!

Rzucił nam po kawałku smakowicie pachnącej kiełbasy, którą połknąłem prawie bez gryzienia. Tom nigdy nie da-

wał mi takich rzeczy! Może ten Grzesiek nie był taki zły? Zamerdałem do niego ogonkiem z nadzieją na kolejny kawałek tych pyszności, on jednak trzymał w ręku już coś zupełnie innego — butelkę. Otworzył ją sprawnym ruchem i pociągnął tęgi łyk, a ja poczułem ten sam nieprzyjemny zapach, który roztaczał wczorajszego wieczoru.

— No! — rzekł, chowając butelkę do kieszeni. — Teraz świat znowu wygląda przyzwoicie! Możemy wracać!

Szliśmy znacznie wolniej, a kiedy ostatnie zabudowania zostały za nami, Grzegorz jeszcze bardziej zwolnił kroku. Znowu trzymał w ręku butelkę, z której co jakiś czas pociągał łyk alkoholu. Baron szedł z przodu ze zwieszoną głową, nawet się na nas nie oglądając. Pomyślałem, że wyglądał jak najsmutniejszy pies na świecie i zrobiło mi się go bardzo żal.

Jednak z drugiej strony... Nic nie krępowało moich ruchów, nie miałem na sobie szeleczek, nie miałem smyczy, a las kusił, zapachy, dźwięki wzywały, budząc we mnie jakąś dzikość, całkiem mi obcą, lecz jakże przyjemną! Odbiegłem kawałek w bok, oglądając się na Grzegorza, ten jednak nawet nie zauważył, że już mnie przy jego nodze nie było. Wszedłem w rzadkie zarośla, wachając z zapamiętaniem pozostawione przez leśne stworzenia ślady, później zagłębiłem się nieco dalej, jednakż nie oddalałem się zbyt daleko. Zdałem sobie sprawę, że ani Baron, ani Grzegorz nie zwróciliby najpewniej uwagi, gdybym nagle znikł, musiałem pilnować się sam. Co jakiś czas podbiegałem więc bliżej, by upewnić się, że nadal posuwali się drogą i znów pędziłem pomiędzy drzewa. Byłem z siebie bardzo zadowolony, pewien, że doskonale sobie radziłem z tą nieoczekiwaną samodzielnością. Jakiż byłem niemądry!

Kiedy wróciliśmy, Grzegorz znikł w domu, pozostawiając nas na zewnątrz, czym zupełnie się nie przejąłem. Baron podreptał w stronę niskiej komórki, oglądając się

na mnie, zrozumiałem, że chciał, bym poszedł za nim. Drzwi praktycznie nie istniały, ziała w nich ogromna dziura, w środku było mrocznie i wilgotno, lecz Baron bez wahania skierował się pod przeciwległą ścianę. Usłyszałem, że coś jadł, a kiedy podeszedłem bliżej moim oczom ukazał się rozerwany worek suchej karmy. Większość granulików zaścielała podłogę, a stary pies wsadził do rozdartego opakowania całą głowę i zajadał z apetytem to, co pozostało w środku.

Nie trzeba mnie było namawiać, rzuciłem się na rozsypane jedzenie, bo z głodu już mnie skręcało. Karma była nieco mokra, na niektórych granulkach pozostał zapach myszy, które też musiały się tu stołować, lecz nic sobie z tego nie robiłem. Jadłem i jadłem, aż nie mogłem przełknąć ani kawałeczka!

Najadłem się za wszystkie czasy, pobiegłem napić wody z wiadra, co wymagało ode mnie nieco więcej wysiłku, bowiem było jej znacznie mniej, ale jakoś sobie poradziłem. Później ułożyłem się przy drzwiach do domu, marząc o miękkim posłaniu i śnie. Niestety, dopiero tuż przed zmrokiem Grzegorz pozwolił nam wejść do środka. Zatrzymałem się posłusznie tuż przy drzwiach, pewien, że teraz będzie chciał wytrzeć moje zabłocone łapki i uczesać długą sierść, ale on tylko popatrzył na mnie i odwrócił się, przechodząc w głąb pomieszczenia. Usiadł przy kuchennym stole, na którym stała prawie pusta butelka, talerz z kawałkami kiełbasy i na wpół opróżniona szklanka zimnej już herbaty.

— I co tak patrzysz psie? — zapytał bełkotliwie. — Pijaka nie widziałeś? Pewnie i nie widziałeś, ten twój Tom to taki bardziej porządny jest...

Grzegorz roześmiał się sam do siebie, lecz w tym jego śmiechu nie słyszałem wesołości, tylko smutek. Zdałem sobie sprawę, że opiekun Barona to bardzo nieszczęśliwy człowiek. Nie wiedziałem, jak go rozweselić, nigdzie

nie dostrzegałem też niczego, co mógłbym złapać w zęby, żeby z tym biegać. W końcu podszedłem do niego nieśmiało i oparłem główkę o jego kolano, starając się nie wdychać tego ostrego, alkoholowego zapachu, który wydzierał. Grześ pogłaskał mnie z roztargnieniem i znowu sięgnął po butelkę.

— Daj spokój młody! — odezwał się Baron z miejsca, w którym odpoczywał. — On cię nawet nie dostrzega, pewnie rano ledwie będzie pamiętał, że mieszkasz teraz z nami. Kładź się i śpij, a jak ci się zachce rób gdzieś w kącie i niczym się nie przejmuj. Jak dobrze pójdzie, może nas jeszcze wypuści na podwórze, jak nie, czekamy do rana. Oby tylko nikt go nie odwiedził, nie lubię tego.

— Dlaczego? — dopytywałem się. — Do nas przychodzą goście i czasem bawią się ze mną i moimi psimi przyjaciółkami. To miłe.

— Koledzy Grześka nie zawsze są mili, młody. Kiedyś się mnie bali, a teraz, gdy jestem stary, przestali. Niektórzy z nich są wyjątkowo nieprzyjemni i trzeba schodzić im z drogi, bo mogą uderzyć albo nawet kopnąć. Tak całkiem za nic.

— Dlaczego twój człowiek pozwala im to robić? Tom nigdy nie pozwoliłby, żeby ktoś mnie uderzył, już nawet nie mówię o kopaniu!

— On tego nie widzi, dzieciaku. Spójrz w jego twarz!

Podniosłem wzrok i przyjrzałem się zaczerwienionemu obliczu Grzegorza. A później zająłem w jego oczy — niczego w nich nie dostrzegłem. Były całkiem puste, tylko gdzieś na ich dnie skrywało się cierpienie. Było jednak inne niż to, które czasem widziałem o oczach mojej dobrej wróżki. To było takie cierpienie, którego należało się wstydić.

Leżałem na moim posłaniu, trochę drzemiąc, trochę rozmyślając, Baron spał głęboko, a jego człowiek pił. Kiedy skończyła się jedna butelka, wyciągnął następną i pił da-

lej, zupełnie tak, jakby ktoś chciał mu odebrać alkohol. W końcu jego głowa nie mogła znieść już więcej tego picia, Grzegorz zakołysał się niebezpiecznie na skraju krzesła i z hukiem spadł z niego na podłogę. Poderwałem się i podbiegłem do niego, głośno szczekając, pewien, że zrobił sobie krzywdę, gotów nieść mu pomoc, a nawet lizać go po policzkach, chociaż woń alkoholu mnie odstręczała. Kiedy jednak zbliżyłem się do leżącego, przekonałem się, że nic mu nie jest. Spał, leżąc na plecach z otwartymi ustami i szeroko rozrzuconymi ramionami.

— Już nie wstanie! — mruknął Baron i sam podniósł się z wysiłkiem. — Plusem tej sytuacji jest to, że kiedy on leży na podłodze, jak pies, ja śpię w łóżku. Chodź, młody!

Sypialna Grzegorza w niczym nie przypominała tej, w której sypiałem z Tomem. Wszędzie walały się rozrzucone ubrania, a w pościeli poniewierał się jeden samotny i brudny but. W kącie stał milczący telewizor, obok łóżka królowała ogromna szafa, a na parapecie dojrzałem dwie doniczki z dogorywającymi kwiatami. Łóżko, chociaż może nie najczystsze, było jednak szerokie i wygodne, znacznie wygodniejsze od mojego posłania na kuchennej podłodze. Ulokowałem się w nim z przyjemnością, chociaż nadal byłem oblepiony zaschniętym błotem, a w sierści miałem sporo kolek, które przyczepiły się do niej podczas mojego buszowania po lesie. Baron wdrapał się w ślad za mną i legł z westchnieniem na poduszkach.

— Dawniej spałem tu z moim człowiekiem — powiedział. — Kładłem się w nogach i obserwowałem go, jak czytał albo oglądał coś w telewizji. Czasem ze mną rozmawiał, wiesz? Opowiadał mi też o twoim Tomie, o tym, jak się poznali, jeszcze w szkole, jak razem poszli na studia. Wiesz, dlaczego Tom ma chorą nogę?

Nie wiedziałem, a Tom nigdy o tym nie mówił, nawet Klarze. Nastawiłem uszu, zaciekawiony, a Baron ciągnął:

— To było dawno, bardzo dawno temu. Nasi ludzie byli jeszcze bardzo młodzi i nierozważni. Wracali skądś we dwóch, późną nocą, przez uśpione miasto i wtedy usłyszeli krzyk. Jakaś kobieta wołała o ratunek. Obaj pobiegli w tamtym kierunku i zobaczyli, jak trzech mężczyzn szarpie jedną panią, próbując wyrwać jej torebkę. Tom i Grześ ruszyli na ratunek, ale to Grzegorz miał więcej szczęścia. Te łobuzy, których chcieli pokonać mieli więcej sił, niż oni, mieli też broń. Wiesz, co to broń, dzieciaku?

— Kij? — zapytałem przerażony.

— Kij i nóż. Tak, mieli kij i tym kijem uderzyli twojego Toma w nogę, gruchocąc mu kości. A potem bardzo go pobili, mojego Grześka zresztą też, tylko mniej, bo zemdlał, a twój Tom walczył. Lecz to tamtą kobietę pobili najbardziej. Już się nie obudziła. I dlatego twój Tom nie opowiada nigdy o tym, dlaczego boli go kolano, bo wtedy przypomina mu się, że nie zdołał jej obronić. Masz szczęście, Meloman, że trafiłeś na niego, to dobry człowiek.

— O tak, najlepszy na świecie! — zgodziłem się. — Bardzo go kocham. I ją też, moją dobrą wróżkę. Też ją kocham! Chciałbym, że już wrócili i zabrali mnie do domu... Słuchaj, Baron, a może ciebie też by zabrali? Miałbyś zawsze jedzenie w misce, i spacer, i głaskanie! Wszystko byś miał i byłbyś potrzebny, jak ja!

— Jesteś dobrym psem, Meloman — odparł Baron smutnym głosem. — Ale podziękuję. Tu jest mój dom i mój ukochany człowiek. Tu nadal jestem potrzebny, nawet jeśli tobie wydaje się, że jest inaczej. Chociaż Grzegorz już się ze mną nie bawi i czasem o mnie zapomina, muszę trwać przy nim, bo on nie ma nikogo innego. I kocham go nie mniej, niż ty swojego Toma! Dlatego zostanę z nim do końca. To już niedługo, wiem to.

— Skąd możesz to wiedzieć? Nie jesteś jeszcze taki stary...

— To się wie, dzieciaku. Tak po prostu. Przychodzi taki poranek, kiedy otwierasz oczy i już masz pewność, że trzeba się nim cieszyć, bo niewiele ci ich jeszcze zostało. Pewnie, że wolałbym radować się resztką życia z moim człowiekiem, znowu czuć jego rękę na łbie, przemierzać las u jego boku i zachwycać się pięknem, które mnie otacza. Lecz skoro tak nie mogę, niech będzie, jak jest, byle mógłbym pozostać z nim do końca.

Przesunąłem się bliżej do tego wiernego, starego psa, a on wsparł głowę o mój grzbiet. Zbudziliśmy się dopiero nad ranem, gdy Grzegorz ciężko zwałił się do łóżka tuż obok nas. Obaj bez słowa wstaliśmy i powędrowaliśmy do kuchni, by śnić dalej nasze sny.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy usłyszałem dzwonek telefonu. Nie pytajcie mnie, skąd, ale wiedziałem doskonale, kto dzwonił. Popędziłem do sypialni, wskoczyłem na łóżko i pochwyciłem Grzegorza zębami za jego rozczochraną brodę, chociaż śmierdziała wódką tak mocno, że zrobiło mi się niedobrze.

— Co jest do cholery! — zawołał, ale kiedy usłyszał dzwoniący telefon, szybko wyjął go z kieszeni i odebrał połączenie. — Halo, cześć Tom! Wszystko w porządku? Mów, co z twoją panią?

Dłuższą chwilę słuchał z uwagą, po czym znów się odezwał:

— Nie tam, wydaje ci się, do nikogo gęby nie otwierałem, to i brzmię dziwacznie. Trzeźwy jestem jak przysłowiowa świnia. Meloman, jaki Meloman? A, pies Meloman? Doskonale, pozdrawia cię, siedzi tu przy mnie właśnie! Grzeczny z niech chłopak! Z Baronem się zakumplowali.

Tom znów coś mówił, jednak słyszałem jego głos niewyraźnie, nie mogłem rozróżnić słów. Grzegorz niecierpliwił się, w końcu odpowiedział twardym tonem:

— Mówiłem, że nie piłem, to znaczy, że nie piłem! Na spacer poszedłem z psami, las spatrolowałem i siedzieliśmy sobie we trzech przy telewizji. Takie urozmaicone życie, jak zawsze. Nie, nie mam problemów, Tom, absolutnie żadnych! Pozdrów swoją panią od nas!

Grzegorz rzucił telefon na łóżko i podniósł się chwiejnie na nogi.

— Czy ten twój Tom zawsze był taki marudny? — zapytał, spoglądając w moją stronę. — Gada, jakby był moją matką, świeć panie nad jej duszą. Nie chleję tyle, zabijasz się, dbaj o siebie, lecz się. Szlag! Muszę się napić, łeb mi pęka...

Powlókł się do kuchni, a ja poszedłem za nim. W stojącej na stole butelce pozostało ledwie trochę alkoholu, Grzegorz sięgnął po nią chciwie i przytknął do ust. Baron obserwował go ze swojego miejsca, nawet nie podnosząc głowy. W jego oczach widziałem tyle troski! Szkoda, że jego człowiek jej nie dostrzegął.

Rozpoczęliśmy kolejny dzień, podobny do poprzedniego. Grześ wypuścił nas na zewnątrz, po czym niedługo sam wyszedł i powędrowaliśmy w kierunku wsi.

— Tak jest każdego dnia? — zapytałem Barona, zrównując się z nim, Grzegorz pozwolił mi bowiem biegać wolno, sam był zbyt zajęty walką ze skutkami wczorajszego picia, by myśleć jeszcze o mnie.

— Prawie każdego — odpowiedział stary pies. — Czasami przestaje i nie pije, ale te przerwy robią się ostatnio coraz rzadsze. I krótsze. Wiesz, czego się boję najbardziej młody? Boję się, że on w końcu umrze, zanim ja zdążę odejść.

Nie wiedziałem, co mógłbym mu odpowiedzieć, polizałem więc tylko jego siwy pysk, a on trącił mnie nosem.

— Pobiegamy? — zapytał nieoczekiwanie.

— Jasne! — nie trzeba mnie było długo prosić, uwielbiałem biegać i byłem w tym całkiem dobry.

Baron, chociaż wiekowy był szybki, wyprzedził mnie i gnał przed siebie leśną drogą niczym wiatr, w końcu jednak zaczął zwalniać, aż leął na poboczu dysząc ciężko.

— Już nie te lata! — wysapał, kiedy go dogoniłem. — Dawniej mogłem tak pędzić całymi kilometrami. Wiesz, że mój człowiek miał kiedyś taki pojazd, który się nazywa motocykl? Zanim zaczął pić na dobre, często wsiadał na niego i jechał po tej drodze bardzo szybko, a ja biegłem za nim. Uwielbiałem to! Potem zatrzymywał się, wyciągał wodę dla mnie, z takiej sakwy z tyłu, zawsze ją tam woził. I siadał obok mnie na ziemi, obejmował mnie ramieniem jak brata... Och, młody, to takie smutne, co się z nim dzieje!

Baron uniósł pysk ku pochmurnemu niebu i zawył żałośnie. W tym płaczu słyszałem nie tylko rozpacz, ale także tęsknotę za tym co było i ogrom miłości do człowieka, który nią wzgardził. I ja zapłakałem głośno, użalając się nad losem mojego psiego druha.

W nieco zważonych humorach powędrowaliśmy dalej za Grzegorzem, który zdążył nas wyprzedzić i parł naprzód gnany przez swój okropny nałóg. Szliśmy ramię w ramię — dwie zagubione psie dusze. Pod sklepem powtórzyła się sytuacja z wczoraj, my zostaliśmy, Grześ wszedł do środka. Po chwili z wnętrza sklepiku dobiegły nas męskie głosy i śmiech.

— Oho! — westchnął Baron. — Posiedzimy tu sobie, zdaje się. Kumple dziś już na niego czekali. Nie wiem jak ty, młody, ale ja zabieram się z powrotem, nie będę tkwił koło stojaka na rowery do wieczora.

— Ale to tak można, tak całkiem samemu chodzić? — zapytałem. — Mnie zawsze uczono, że to niebezpieczne.

— Bezpieczniej przebiec drogą i siedzieć na podwórku niż zostać tu, gdzie można oberwać kopniaka. — Baron już wstał i zamierzał wprowadzić swoje słowa w czyn. —

Wracam, ty rób co uważasz, tylko pamiętaj — nie wszyscy ludzie lubią psy!

Patrzyłem jak odchodzi powoli poboczem z nisko zwieszoną głową — stary, wierny pies, którego najukochańszy pan wolał alkohol zamiast niego. Pokręciłem się jeszcze trochę w okolicy sklepu, znalazłem kawałek starego chleba i zjadłem go, bo byłem głodny, w końcu postanowiłem pójść za radą przyjaciela i wrócić samodzielnie do domu. „Jeśli się pospieszę może uda mi się dogonić Barona?” — pomyślałem — I może on znowu będzie miał ochotę na wyścigi? Chętnie bym sobie pobiegał!”

Pędziłem żwawo na krótkich łapkach, oszczędzając nieco chorą nóżkę i od czasu do czasu sprawdzałem nosem, czy na pewno szedł tędy przede mną Baron, ale jego zapach był cały czas silny i świeży. Po obu stronach drogi rozciągał się gęsty, tajemniczy las i kusił — och jak mnie kusił zapachem, szumem, głosami ptaków! Nie wytrzymałem i skręciłem nieco, by chociaż trochę użyć tej wolności, zaznać dzikości. „Wszak jestem psem, myśliwym i w ogóle — powiedziałem sobie — Co mi się może stać?”

Las był gęsty, pod nisko zwisającymi konarami drzew panował półmrok, lecz nic sobie z tego nie robiłem. Czulem woń leśnych stworzeń — wiewiórek, które doskonale znałem, ale także innych, nieznanych mi mieszkańców lasu. Obudził się we mnie tropiciel — szedłem, węszyłem, smakowałem te wszystkie zapachy, zapominając o tym, że jestem tylko niewielkim, kosmatym pieskiem z miasta. Kiedy w końcu postanowiłem wracać, zdałem sobie z przerażeniem sprawę, że nie mam pojęcia którędy powinienem iść. „Wrócę po własnych śladach! Tak będzie najlepiej!” Zacząłem nawet biec, z nosem przy samej ziemi, lecz szybko zgubiłem własny trop w gęstwinie innych zapachów. Nie słyszałem niczego, poza szumem wiatru w jesiennym lesie, w którym robiło się coraz ciemniej i coraz straszniej. Zacząłem się bać.

— Hau, hau! — zawołałem — Baron, gdzie jesteś! Nie wiem, którędy do domku! Baron!!!

Lecz odpowiedziało mi tylko echo. Zawołałem ponownie i jeszcze raz, a własny głos wydał mi się cienki i żałosny. Zgubiłem się na dobre.

Coś zaszeleściło z prawej strony, trzasnęła złamana gałąź, usłyszałem kroki jakiegoś dzikiego zwierzęcia, coraz bliższe, ciężkie. Poczułem też jego zapach, obcy, straszny! Niewiele myśląc rzuciłem się do ucieczki, nie zważając, że ostre gałęzie chwytają mnie za futerko, chłoszczą boleśnie po grzbiecie, chciałem tylko znaleźć się jak najdalej od tego, kto się do mnie zbliżał. Nóżka bolała mnie coraz bardziej, byłem głodny i spragniony, lecz najsilniejszym uczuciem był strach. Uciekałem, aż całkiem opadłem z sił. Na szczęście potwór, który, czego byłem pewien, chciał mnie co najmniej rozszarpać, a może i zjeść został daleko z tyłu, przed sobą miałem gęsty las, podobnie jak po obydwu bokach i za mną, coraz bardziej mroczny, wilgotny i zimny. Odpocząłem trochę i ruszyłem dalej, przekonany, że las się kiedyś skończy, znajdę drogę, a na niej ludzi, który odprowadzą mnie do domu, a może nawet zawiozą do mojego Toma. Kiedy moich uszu dobiegł warkot przejeżdżającego gdzieś daleko z prawej strony samochodu zapomniałem o zmęczeniu, ruszyłem biegiem gotów dogonić pojazd za wszelką cenę. Nagle coś boleśnie schwyciło mnie za tę moją chorą nóżkę i szarpnęło do góry, aż zawisłem z główką w dół, łapkami ledwie dotykając ziemi. Próbowałem się wyswobodzić, sięgnąć ząbkami do tego, co mnie pochwytiło, ale nie mogłem, sprawiłem jedynie, że to coś wpiło się jeszcze silniej w moją nogę. Ból był okrutny, tak silny, że nie mogłem krzyczeć, jęczałem tylko i sapałem, starając się podeprzeć przednimi łapkami, wbijałem bezskutecznie pazurki w ziemię... Słabłem z każdą chwilą.

— Och Tomie mój, czy ja tu umrę? — szepnąłem. —  
Czy umrę tutaj wisząc głową do dołu, i nigdy, przenigdy  
cię nie zobaczę?

## Rozdział 6

Zapadałem w nicość i budziłem się, targały mną dreszcze, zwymiotowałem i o mało co się nie udławiłem. Nie wiem, jak długo trwało to wszystko, aż nagle z tego stanu pół snu- pół śmierci wyrwało mnie mocne szturchnięcie.

— Patrzaj Witek, jaki się nam zajęc złapał! — usłyszałem męski głos. Jakaś ręka pochwyciła mnie za skórę na karku. Błysnęło ostrze — człowiek uwolnił moją nóżkę i rzucił mnie, bezwładnego na ziemię. Podniosłem wzrok na tego człowieka, wdzięczny za ratunek.

— Ty, on żyje, myślałem, że zdechł! — odezwał się ten, który mnie uwolnił. — Co z nim zrobim?

— Weźmiem! — odpowiedział drugi człowiek, który właśnie się do nas zbliżył. — Azora nie ma, może ten się nam przyda. Marny jakiś, ale nie chudy, niech stoi przy budzie. Uwiąż go, Jaśku, masz tu pasek.

— A będzie szedł? Przeca leży i ledwie dycha...

— Jak nie będzie to go ostaw, niech zdycha. Niósł go nie będę!

Ten, który nazywał się Jasiek założył mi na szyjkę grubą pasek i mocno szarpnął. Wstałem z trudem, a człowiek zaczął iść przez gęstwinę, ciągnąc mnie za sobą. Upadałem i podnosiłem się, starając dotrzymać mu kroku, obawiałem się, że rzeczywiście zostawi mnie tu na pewną śmierć.

Bardzo długo wędrowaliśmy, bo dwaj mężczyźni, który mnie uwolnili, skręcali wiele razy, sprawdzając, czy w podobne pułapki, jak się później dowiedziałem — wnyki — nie złapała się leśna zwierzyna. Jeśli znajdowali złapanę

zwierzęta zabierali je ze sobą, te żywe zabijali od razu i wrzucali do dużego wora, który Witek niósł przewieszony przez plecy. Wrzucali tam również te, które były martwe.

— Dawaj, wracamy, świta już. — rzekł w końcu Witek. — Głodnym!

— Ja też. Chodź, matka zupełnie odgrzeje!

Wyobraziłem sobie miseczkę gęstej, tłustej zupki, może z kawałkami mięska i miękką poduszkę, która na pewno mi dadzą, co dodało mi sił. Ciągnąc za sobą moją chorą łapkę, która, tak jak kiedyś, dawno temu, znowu zupełnie mnie nie słuchała, poszedłem pełen nadziei ku mojemu przeznaczeniu.

Ale w nowym miejscu nie dostałem poduszczeni. Zupki zresztą też nie. Jasek pociągnął mnie w kierunku lichej, dziurawej budy, w której zapewne wiódł swój pieski żywot wspomniany Azor i założył mi na szyję jego obrozę. Była o wiele za duża, musiał okręcić ją dwa razy, bym nie mógł się uwolnić. Do obrozy przypięty był ciężki metalowy łańcuch.

— Buda! — rzekł ostro i wskazał palcem na zбиты ze starych desek krzywy psi domek — Pilnuj!

Poszedł, nie zaszczyciwszy mnie nawet jednym dotknięciem. Rozejrzałem się dookoła, chociaż z bólu i zmęczenia wszystko mi się rozmazywało. Puste, zagrzone podwórko, pokryte zmarzniętym błockiem, stary dom z krzywym dachem, jakieś komórki, rozwalający się, przerdzewiały samochód... Pachniało jeszcze gorzej niż wyglądało — czułem woń krwi, cierpienia i śmierci.

Powlokłem się do budy, która odtąd miała być moim schronieniem. W środku było mokro, leżał tam jakiś na wółprzegniły worek, a po pierwszy mieszkańcu tego przybytku nie pozostał nawet cień zapachu. Musiał odejść już dawno temu. Położyłem się na tym worku, starając się, żeby uszkodzona łapka była wyciągnięta i o dziwo zasnąłem.

Słońce stało już wysoko, kiedy ten, na którego mówili Jasiek znowu pojawił się w pobliżu budy. Zagwizdał, więc wypęzłem z trudem, bo nie dość, że brak mi było sił, to jeszcze ten łańcuch ciążył mi okrutnie.

— Na! — rzedł tylko, stawiając przed moim nosem brudny garnek z wodą. Z worka, który trzymał w drugiej dłoni sypnął na ziemię jakieś okruchy, które nawet nie pachniały jak jedzenie. — Żryj, Misiek, żryj!

— Nie syp mu tyle tej śruty, to dla świniów! — usłyszałem zrzędlawy, kobiecy głos. — Potem mu zlewki dasz i tego chleba, cośmy znaleźli, ino z wodą.

Znowu zostałem sam, wypilem chciwie wodę i powąchałem to, na co kobieta mówiła śruta. Spróbowałem — niedobre było, ale zjadłem wszystko, nawet ziemię wylizalem. Musiałem mieć siłę, bo czułem, że inaczej po prostu mnie zabiją, jako zbędny kłopot.

Moje nowe życie w niczym nie przypominało starego, ograniczał je ciężki łańcuch i wyczekiwanie na coś do jedzenia. Moi ludzie, jak zacząłem o nich myśleć, nie zawsze pamiętali o tym, żeby mnie nakarmić, nie raz nie dwa zapominali nawet o wodzie. Nie głaskali mnie nigdy, nie mówili do mnie. Nigdy nie puścili mnie wolno, nie wiedziałem, co znajduje się za domem, czy potrafiłbym znaleźć drogę do swojego Toma, gdybym mógł uciec. Chociaż pewnie daleko bym nie zawędrował, nie miałem sił. Moja łapka już nawet bardzo nie bolała, ale nie mogłem na niej stać, zaczęła też dziwnie pachnieć. Futro miałem cały czas wilgotne, oblepione błotem, i wstyd się przyznać, także tym co wydaląłem, bo czasem nie byłem w stanie odejść na tyle, by załatwić się z dala od miejsca w którym leżałem. Chleb z wodą, który dostawałem do jedzenia nie dawał mi energii, marzłem i byłem wiecznie głodny. Kiedy kładłem się na wilgotnej ziemi uwierały mnie moje własne kości.

Zaczęła się zima, na szczęście nie było dużych mrozów, bo z pewnością bym jej nie przetrwał. Raz jednak w nocy, kiedy temperatura spadła grubo poniżej zera moja sierść przymarzła do ziemi w budzie. Musiałem szarpać się z całej mocy by rano podejść do miski, w której stało moje śniadanie i obiad w jednym — stary chleb, woda i garść śruty „dla świń”. Wiosnę przywitałem z radością, wiedząc, że przynajmniej będzie mi cieplej.

Nie wiem, jak długo dałbym radę, gdyby nie łut szczęścia. Moi ludzie, jak się pewnie domyślacie, byli kłusownikami i zastawiali w lesie wnyki na zwierzynę, czego robić absolutnie nie wolno. Ktoś, kto niezbyt dobrze im życzył doniósł na nich i pewnego wiosennego popołudnia na podwórko zajechała policja. Nie trwało długo, a Jasiek i Witek zostali zapakowani do radiowozu razem z mamusią, która wrzeszczała i ubliżała policjantom, jednego nawet usiłowała kopnąć. A nieco później na podwórzu pojawił się jeszcze jeden pojazd, a w nim ludzie, którzy mieli zająć się nami — zwierzętami kłusowników. Cztery świnki zostały wyprowadzone z rozpadającego się chlewika, kury połapane do klatek, w końcu starszy pan zbliżył się do mnie i wyciągnął dłoń w moją stronę:

— Hej, pieseczku, ugryziesz mnie? — zapytał.

— Jasne, że nie! — chciałem odpowiedzieć, ale tylko zamerdałem ogonkiem i polizałem skierowane w moim kierunku palce. Podpełzłem do tego pana na brzuszku, żeby wiedział, że nic mu nie zrobię, uśmiechnąłem się najpiękniej, jak potrafiłem. Człowiek ten dotknął mojej główki, delikatnie, z miłością, a ja aż zamknąłem oczy z rozkoszy — prawie zapomniałem, jakie to miłe.

— Marysiu, Gosiu, chodźcie no tutaj! — zawołał starszy pan do swoich towarzyszek. — Zobaczcie, toż to szkielet psa, obleczone brudnym futrem. Coś ma z łapą, zobaczcie same!

Jedna z tych pań, która trochę przypominała mi moją kochaną dobrą wróżkę, uklękła przy mnie, nie patrząc nawet, że wokół było brudno.

— Och, ty biedaku! — powiedziała i też pogłaskała moją główkę, potem przejechała dłońmi po moim grzbiecie i delikatnie musnęła chorą nóżkę. — Zabieramy go od razu do weterynarza. To cud, że żyje! Ależ on cuchnie, nieborak!

W lecznicy wszyscy się nade mną litowali. Pani doktor, która mnie badała miała łzy w oczach, a dwie panie i starszy, miły pan, którzy mnie przywieźli nie kryli łez.

— Przeżyje? — zapytał starszy pan. — Da radę?

— Nie wiem, panie Kazimierzu. — odparła pani weterynarz. — Jest zagłodzony, odwodniony, łapa mu gnije, nie wiadomo, jak daleko postępuje zakażenie. Ale niech pan spojrzy, to pies, który miał kiedyś dom — ma białe, zdrowe zęby i wcale się nas nie boi. Musiał chodzić do weterynarza, wie, że mu pomożemy. Jak już go ostrzyżemy i zbadam go dokładnie trzeba sprawdzić, czy ma czip. Może los się do niego uśmiechnie?

Zgolono całą moją brudną sierść, do gołej skóry niemalże i chociaż zrobiło mi się zimno odczułem też ulgę, kiedy pozbyłem się tej wilgotnej, śmierdzącej skorupy. Pani doktor delikatnie badała moją chorą łapkę. Chociaż bolało, starałem się nie płakać i dzielnie wszystko znosiłem. A jeszcze później dostałem zastrzyk i zasnąłem.

Obudziłem się, jak mi się wydawało, po bardzo długim czasie. Leżałem w klatce na miękkim kocu, nie bałem się jednak, pamiętałem, że takie klatki nie są niczym złym. Z mojej przedniej łapki starczał jakiś dziwny przedmiot, do którego przytwierdzona była rurka z przezroczystym płynem, a na szyi miałam znany mi doskonale z wcześniejszych wizyt u lekarzy i nielubiany abażur.

Spróbowałem poruszyć chorą nóżką, bo wcale mnie nie bolała, bardzo się zdziwiłem, że jej nie czuję. Spojrzałem i ze zaskoczeniem przekonałem się, że nóżka zniknęła. Zamiast niej miałem wygolone futerko i jakieś niteczki, rurki...

— Nie pobiegasz już za piłeczką, Meloman — powiedziałem do siebie. — Ani nie poskaczesz za wysoko...

Miałem tylko nadzieję, że kiedy Tom po mnie przyjdzie, rozpozna w trzynogim, chudym psie swojego druha. I będzie mnie nadal kochał... Bo przecież przyjdzie, prawda?

Leżałem w klatce kilka dni, pani doktor odwiedzała mnie często, sprawdzała jak się czuję, przychodził też ten miły starszy pan Kazimierz, ale Toma nadal nie było. Dostawałem dobre jedzenie, świeżą wodę, czasem podłączano mi do łapki tę rurkę z przezroczystym płynem, co sprawiało, że miałem więcej sił. Próbowałem wstawać, co nie bardzo mi się udawało, ale kiedy w końcu podniosłem się na łapy i stanąłem chwiejnie, merdając ogonkiem, wszyscy bardzo się ucieszyli. Ja też się cieszyłem, brakowało mi tylko obecności tego, za kim tęskniłem najbardziej na świecie. Aż pewnego dnia...

Usłyszałem jego głos, który tak dobrze pamiętałem i poczułem jego zapach, którego nie mógłbym pomylić z żadnym innym, najpiękniejszy, najukochańszy!

Zacząłem wołać najgłośniejszym głosem, jaki potrafiłem:

— Tom! Tom, tu jestem! Zabierz mnie do domu!

I w końcu go zobaczyłem, mojego Toma, który prawie wbiegł do psiego szpitalika. Ukłąkł przy mojej klatce i już po chwili byłem w jego ramionach, takich silnych, takich ciepłych, czułem jego kochane ręce na swojej skórze, słyszałem jak szeptał wprost do mojego ucha:

— Meloman, łobuzie! Odnalazłeś się piesku mój!

Polizałem go po twarzy, chciałem skakać i biegać z radości, lecz nie miałem na to sił. Tom uniósł mnie, tuląc

mocno, a ja przywarłem do niego, bo bałem się, że zniknie. A tego moje psie serce nie mogłoby już znieść.

Pan Kazimierz powiedział Tomowi wszystko, co było mu o mnie wiadomo: że znaleźli mnie na wpół żywego, przykutego łańcuchem do budy u ludzi, który parali się kłusownictwem, że musiałem być u nich dość długo, że mojej nóżki nie dało się uratować, ale powinienem sobie zupełnie dobrze radzić z tymi łapkami, które mi pozostały. I, że to szczęście, iż miałem chip, bo dzięki niemu mogli Toma odszukać i powiadomić go, że żyję i czekam w bezpiecznym miejscu. Tom dziękował wszystkim, głaszcząc mnie nieustannie, jakby chciał się upewnić, że rzeczywiście mnie odzyskał.

A potem sam zaczął opowiadać, jak długo mnie poszukiwał i zawsze wierzył, że kiedyś do niego wrócę. Ogłoszenia z moją podobizną wisały w każdym zakątku Polski, w mediach społecznościowych mnóstwo ludzi dobrej woli udostępniało post Toma, w którym prosił o rozglądanie się za mną i obiecywał wysoką nagrodę temu, który mnie odszuka. Podobno dom, w którym mnie odnaleziono nie znajdował się wcale daleko od miejsca zamieszkania Grzegorza, ale w psie, którego Jasiek i Witek trzymali na łańcuchu nikt by mnie nie rozpoznał. W niczym nie przypominałem bowiem beżowego, puszystego pieska z fotografii. Tom przemierzał okolice, w której zaginąłem wzdłuż i wszerz, pytał o mnie każdego napotkanego człowieka, lecz na próżno. Nidy się jednak nie poddał — nie mój Tom. On wierzył, że nie umarłem, tak jak ja wierzyłem, że go odzyskam.

Wróciłem do domu, do własnego kochanego domu, w którym czekały na mnie Klara, Larcia, Pińcia i Księżniczka. Naszej radości nie było końca, co prawda, ja nie miałem siły biegać i skakać, ale przecież mogłem merdać ogonkiem ile wlezie i rozdawać wszystkim buzia-

ki. Tom zaniósł mnie do ogrodu, w którym kwitły późnowiosenne kwiaty, a zielona trawa zachęcała, by na niej odpocząć. Leżałem na słońcu, z malutką Księżniczką przytuloną do mojego chudego boku tak jak dawniej, gdy wtulała się w moje miękkie futerko, a Tom i Klara siedzieli opodal na ławeczce, trzymając się za ręce i patrząc na nas — na swoją psią rodzinę, nareszcie w komplecie.

## *Epilog*

Jestem już stary, nie mam dość energii, by biegać z kapciem w zębach, nie zawsze chce mi się bawić, lecz nadal w mojej piersi bije wielkie, gorące, pełne miłości serce. Kiedy leżę tak, jak teraz, u stóp mojego Toma, czuję się bardzo szczęśliwy, chociaż wiem, że niedługo będę musiał odejść. Mój przyjaciel, wierny, pocziwy Baron miał rację — to się po prostu czuje. Powędruję w to specjalne miejsce, do którego odchodzą wszystkie psiaki. My psy, idziemy przez życie ze świadomością, że takie miejsce istnieje, nie wiemy tylko, gdzie ono się znajduje. Gdy przychodzimy na świat, przybiegamy właśnie stamtąd, by żyć wśród ludzi, cieszyć się, biegać i kochać tych, którzy się nami opiekują. A kiedy przychodzi czas, wracamy by czekać, aż znowu będziemy potrzebni. Tę tajemnicę zna każdy z nas, psów, dlatego mimo wszystkich nieszczęść, których niekiedy doświadczamy, zachowujemy nadzieję.

I z tą nadzieją odejdę, by znów spotkać moją matkę, Kurzawę o smukłym pysku, Groszka, dobrego wiernego Barona i wszystkich moich przyjaciół, którzy trafili tam przede mną. Może Babcia Jasia czeka już tam na mnie z miseczką ciepłego mleka w dłoniach?

Jednego jednak jestem pewien. Nawet, gdy odejdę będę przy tobie, mój człowieku, będę cię strzegł moją miłością przed wszelkim złem. Zupełnie tak, jak za życia.

Kałużyn, 11 czerwca 2025 r.

Anna Zofia Malinowska, autorka czterech powieści, między innymi „Popaprańce i ja” oraz „Ja – psia matka”, prywatnie opiekunka czterech adoptowanych psiaków, tym razem zaprasza do poznania losów wyjątkowego psiego bohatera. Książka wzrusza, bawi, a także uczy, dowodząc, że psy to cudowne, mądre istoty, którym człowiek jest winien miłość, wdzięczność oraz troskę.

Psie dole bywają różne, niekiedy burzliwe, bywa, że okrutne. Meloman jest zwyczajnym kundelkiem, który, chociaż urodził się niechciany, znajduje miejsce u boku człowieka, któremu oddaje całe swoje psie serce. Kiedy los ich rozdziela nie traci nadziei i cały czas wierzy. Czy uda mu się wrócić do domu?

ISBN 978-83-8414-644-6



Rideró

Wydaj książkę  
profesjonalnie!